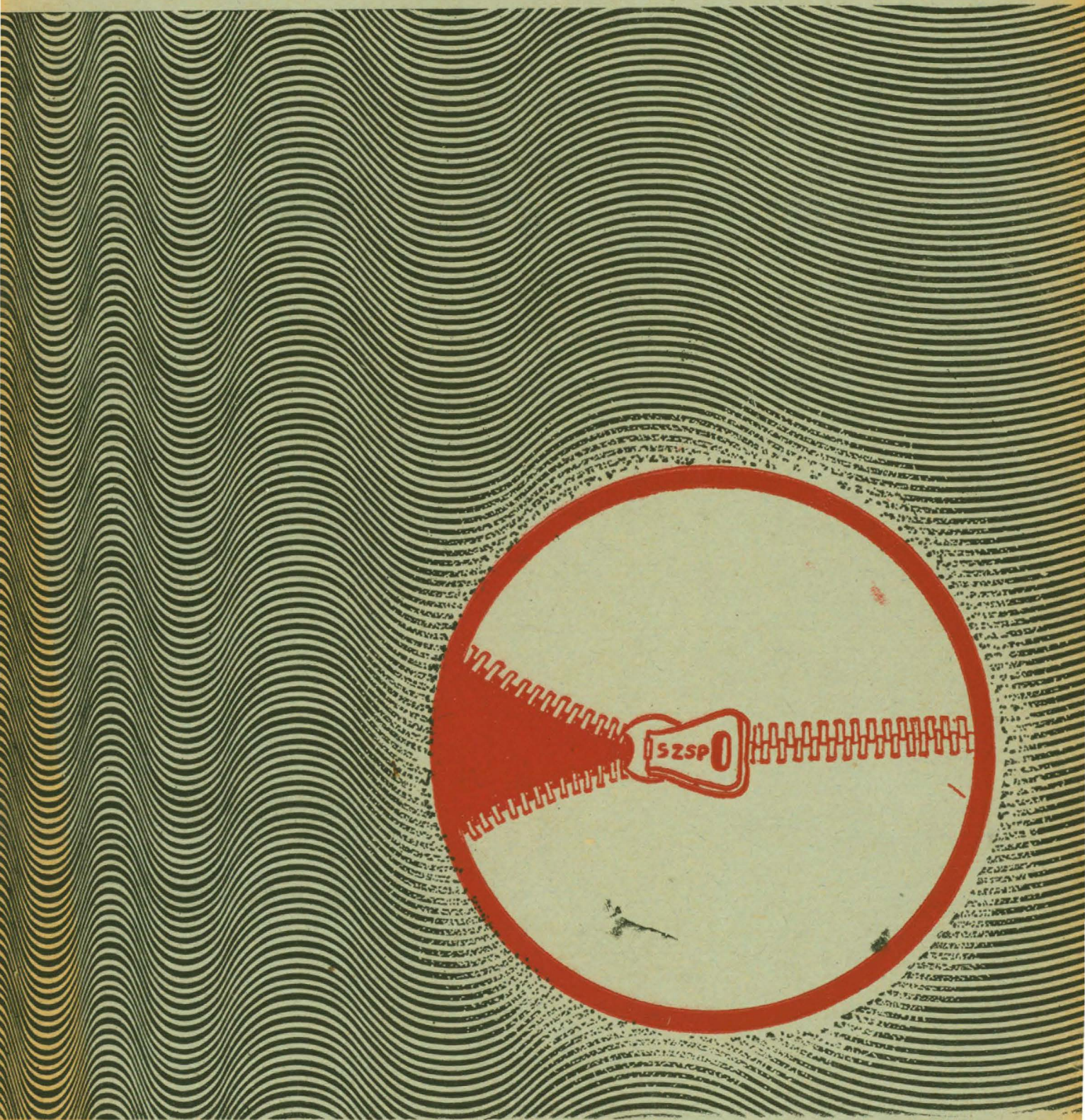


FAKTOR



**JEDNODNIÓWKA KLUBU DZIENNIKARZY STUDENCKICH
SOCJALISTYCZNEGO ZWIĄZKU STUDENTÓW POLSKICH
ZARZĄD WOJEWÓDZKI W ZIELONEJ GÓRZE**

W NUMERZE: 

WYDANIE

XV-te

Wystawa Hładkiewicza

„ETHOS i co dalej?”

K. Żółciak pisze o modelu działacza SZSP

urzędnik? marzyciel?
psychopata?



Wiersze

- ★ Jerzego Krzysicy
- ★ Eugeniusza Kumawy
- ★ Jana Gawickiego

rysunki
Leszka Kami

State felietony

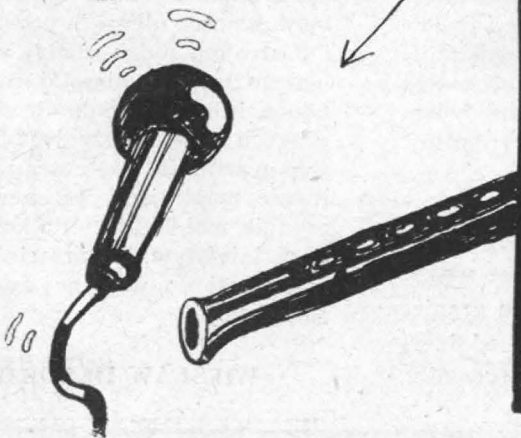
- W. Hładkiewicza Wymiary historii
- A. Bucką Zapis niepełny
- Filistra Piórem pod oko



KACZOR

A. GAJDA

» Same sukcesy? «



COUNTRY MUSIC
A. RUSZCZYŃSKI



1 Mój szkic „portretu” sylwetki środowiska uwzględnia tylko co jaskrawsze cechy, które nie stanowią precyzyjnej fotografii. Nie sposób bowiem wszystkiego wypisać do końca, ująć



FOT. M. KNIAZIUK

ETHOS - między pasją, a biernością

zdjęcie w ramki i oczyścić je od czasu do czasu z warstw kurzu. Występują pewne wspólne wielu studentom predyspozycje. Na przykład wzmocniona pobudliwość uczuciowa, wyobraźnia, fantazja, przewaga cech ekstrawertycznych no i pewne skłonności do dezintegracji pozytywnej... Niewielu jeszcze dysponuje bardziej wysublimowanymi skłonnościami (pasja twórcza, społecznikowstwo, wysoka kultura polityczna).

2 Każde pokolenie niesie swoją własną hierarchię wartości i potrzeb, każde dysponuje określoną wiedzą. Jest to oczywiste i zrozumiałe. Narodowa przecież wspólnota pokoleń jest wypadkową szeregu hierarchii wartości. Krytyczny, ale obiektywny stosunek do przeszłości, która nas kształtuje stanowiąc winien zawsze punkt wyjścia do formułowania programu. Tego nie zrobi za nas nikt i z tego trzeba się będzie rozliczyć. Błędem jest uparte trwanie, zwlekanie czy wczesne poczu-

cie zmęczenia. Niechęć i brak ambicji zwiłokrotnia krytyczny obraz pokolenia.

3 W obrębie pokolenia wrażliwego winien panować coraz większy absolutyzm od-

czuć wyższego rzędu, potępiających z góry niejako niewrażliwość społeczną na prymitywny utylitarizm poczynań społecznych (egocentryzm, ciasnota horyzontów, alkoholizm, mała wrażliwość moralno-społeczna, etc.). Juliusz Słowacki bardzo plastycznie ujął dwoistość charakteru narodowego Polaków, pisząc o duszy anielskiej w rubasznym czerepie. Czerep to symbol niskiego poziomu, niskiej wartości duchowej jednostki lub większej grupy społecznej. Zaś dusza anielska to znów symbol wysokiego poziomu sublimacji i zdolności do twórczej pasji działania. Trzeba więc nadal szukać recept na poprawianie wad. Tych bowiem nadal więcej od stanów postaw wyższego rzędu.

4 Rzekł kiedyś Mickiewicz: „O ile polepszyście dusze wasze, o tyle powiększyście granice wasze”, czyli zmierzać od inercji do wrażliwości i aktywności.

Brak dobrej woli w aktywności środowiska. Wielu członków tej społeczności lokuje się wygodnie na jej powierzchni. Głębia jest nie pewna, tam bowiem trzeba zaprezentować wartości wyższego rzędu. Tak, tak! Apatia i bierność lubią się nad wyraz często sadzić w wygodnych fotelach. Łatwiej jest także z boku obserwować zbiorowy poryw garstki zapaleńców, a w duszy mieć jedynie świadomość własnych interesów. Nadal w hierarchii celów, motyw posłannictwa sytuuje się na dość odległym miejscu.

5 Dokonała się w państwie rewolucja ekstensywna, czyli rewolucja w sferze instytucji własności, form zarządzania, w sferze władzy państwowej. Trwa nadal druga faza rewolucji — mianowicie rewolucja intensywna, rewolucja „w głąb”. Jest to proces zmian, które zachodzą w obrębie postaw i stylów życia. Ten intensywny etap rewolucji stwarza młodej generacji szanse szczególne: wyznacza cel perspektywiczny, osadza go w realiach twórczego zaangażowania, lecz nadal za mało pokolenie to rozprawia o potrzebie kontynuacji rozpoczętego dzieła, a za dużo o utrwaleniu tego, co dało li tylko korzyść indywidualną.

6 Jestem daleki od grzebania się w wydumanych wadach bliskiej memu sereu społeczności, ale przecież niepokoić muszą sygnały o słabnącej odpowiedzialności, o ciasnych i sformalizowanych celach życiowych. Nie bez kozery padają słowa o ulotnym je dynie zapale, braku wytrwałości, bezduszności, uleganiu podszeptom i nastrojom ludzi małej wiary i małego serca, o niesolidarności w nauce, itd. To prawda: do niecierpliwych świat należy, lecz pod jednym warunkiem, że naszą niecierpliwą przekazujemy w energię, w czynnik mobilizujący do kolektywnych inicjatyw. To przecież warunk drugi do wspólnej radości i satysfakcji.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

URZĘDNIK? MARZYCIEL? PSYCHOPATA?

KRZYSZTOF ŻÓŁCIAK

Niejednokrotnie zastanawiałem się, kto to jest aktywista, albo jak kto woli, działacz SZSP (oni sami nie lubią takich określeń swojej osoby). Czym się on różni od szarego członka SZSP? Jak go widzą nie-działacze? Wreszcie — jaki powinien być?

Na wstępie pozwolę sobie sklasyfikować działaczy stanowiących większość tych, których spotykamy w grupie, na wydziale, uczelni.

Działacz urzędnik — Traktuje organizację jak biuro. Najbardziej dba o to, żeby mieć ładne fotele czy biurko, a już mniej o to, co na biurku. Telefonuje, pisze pi sma, a potem je przekłada z jednej teczki do drugiej. Pisze sprawozdania, zwołuje Bardzo Ważne posiedzenia. Jeździ na szkolenia, seminaria. No i oczywiście stempluje, stempluje... Nie organizacja jest mu potrzebna, ale ciepły stółek i jak największa władza.

Działacz marzyciel — Jego idee fix to skupienie w organizacji wszystkich studentów, poustawianie ich parami i hop-siup: robimy wszystko razem i tak samo. Nie przeoczy żadnej okazji, aby wszystkich informować o swojej idei; staje się przez to duszą towarzystwa — czaruje, agituje, filozofuje. Działacz marzyciel jest zwykłym działaczem gaduła. Wokół siebie skupia tylko zwolenników, innych nie zauważa. Dążąc do jedności izoluje jeszcze bardziej.

Działacz psychopata — Model najbardziej rozpowszechniony. Nerwowy, ciągle zalatany, wszystkim chce pomóc, podać każdemu problemowi. Pomoc kogokolwiek jest mu niepotrzebna. Zalatwiając tysiące drobnych spraw gubi zwykle tę najważniejszą. Przez telefon interweniuje w sprawie Iksa, Ygrekowi pisze opinię, a myśli jak pomóc Zetowi. I tak zamienia się z działacza w filantropa. W końcu ginie sam we własnych sidłach — pozostaje tylko niemożność i ostre wyczerpanie nerwowe.

★

A gdzie są działacze służący organizacji? Oczywiście są, ale ich ilość jest przysłowiową kroplą w morzu.

Zbyt długo w naszej świadomości egzystuje model bezproblemowego życia. We dług wielu życie polega na robieniu wszystkiego, aby uniknąć problemów, sytuacji konfliktowych i tzw. „trudnych”. Działalność ich polega na bezmyślnym potakiwaniu w przeświadczeniu, że i tak ktoś za nich dany problem rozwiąże. Wytworzył się bardzo niebezpieczny sposób życia — ten dla siebie i ten dla siebie. Na pokaz oficjalny, sztywny i zakłamany. Ten dla siebie ujawniany tylko w gronie najbliższych — „a ja swoje i tak myślę, ale mogę powiedzieć tylko wam...”.

Kto pomyślał, że stu formistów jest bardziej groźnych od stu zdeklarowanych przeciwników? Nie ma nic gorszego niż bierne przyglądanie się złu, akceptowanie (bezmyślne) złych wzorów postępowania.

Ale gdy zostanie przekroczona granica zwykłej przyzwyczajenia, zaczyna się coś, co można nazwać walką wszystkich przeciwko wszystkim. Tworzą się małe grupki, działające jak taran i niszczące wszystko co stanie na ich drodze. Dochodzą do głosu najgorsze ludzkie cechy — brak tolerancji, nieuczciwość, podejrzliwość. Efekty takiego stanu rzeczy są łatwe do przewidzenia — wielu przestaje wierzyć w siebie, w ludzi, w cokolwiek.

Kluczem do problemu jest na pewno odpowiedzialność i prawie wszyscy o tym wiedzą, ale tylko niektórzy potrafią się nim posługiwać w sposób w pełni dojrzały. Wielką pomyłką jest odpowiedzialność zbiorowa. Tylko odpowiedzialność indywidualna ma jakiś sens i może przynieść oczekiwane korzyści.

Idąc dalej dochodzimy do kwestii rozwiązywania problemów, z którymi może sobie poradzić tylko człowiek

„...pragniemy żyć w sposób pełny, autentyczny, mądry i odpowiedzialny wśród ludzi i dla ludzi”.

(z deklaracji ideowej SZSP)

odpowiedzialny, o silnym charakterze, człowiek, który nie odkłada niczego na później i zwykle o tym zapamiętuje.

A więc w konsekwencji określiliśmy sobie podstawowe cechy działacza rozwiązującego problemy, takiego, który jest najbardziej potrzebny organizacji. To nie jemu służy organizacja, ale on organizacji. Jego działaniem nie to indywidualna aktywność, współpraca, dyskusja, konfrontacja. Swego działania nie zaczyna od zastanawiania się nad przeszkodami i trudnościami, czy wręcz wynajdywaniem ich tam, gdzie nie istnieją. Do wszystkich zamierzeń podchodzi z optymizmem i wiarą we własne siły. Jest to człowiek „żyjący godnie i mądrze, wszechstronnie rozwijający swe zdolności, świadomy swego miejsca i roli w społeczeństwie, harmonijnie kojarzący własną indywidualność z życiem społecznym”.

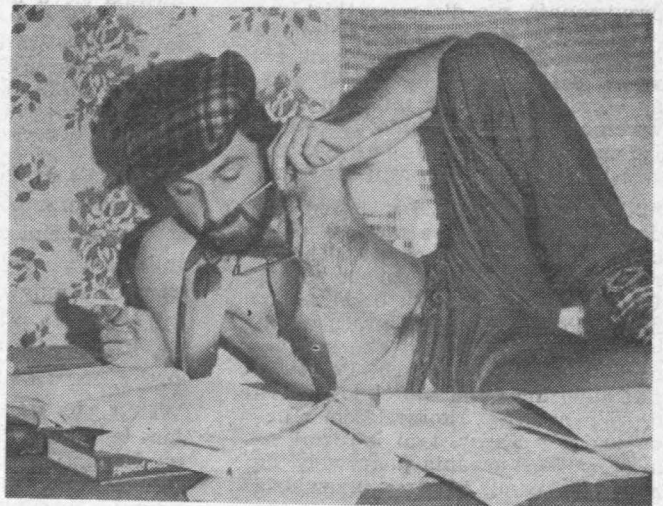
Zapyta ktoś, gdzie znaleźć takiego idealnego działacza. Oni są, ale giną w masie szarych członków SZSP. Myślą za siebie i za nich, nawet domyślają się, czego im potrzeba. Są od nich różni, lecz nie przez nich wyróżnieni. Często nie mają czasu — pracują dużo i za darmo, ale i na darmo. I tak będzie, dopóki będą sami.

Twierdzą, że organizacja

studentka jeszcze nie w pełni wykorzystuje potencjał intelektualny swoich członków. Jeszcze w zbyt dalekim planie działalności SZSP są poczynania zmierzające do tego, aby każdy student identyfikował się z podanymi mu normami etyczno-ideologicznymi. Oczywiście należy sobie zdawać sprawę z tego, że SZSP jako organizacja młoda jest na etapie umacniania się w środowisku akademickim. Dysponuje skromnymi funduszami i symbolicznymi środkami represji, a więc niewiele może zmienić w realiach otaczającego nas świata.

Oczekuje się od organizacji, aby była odzwierciedleniem rzeczywistych postaw, rzeczywistych potrzeb i dążeń młodego pokolenia. SZSP może być taką organizacją tylko w przypadku spełnienia podstawowego warunku: harmonijnego skojarzenia indywidualnych przekonań jej członków z aktywnością społeczną. Musi się w niej znaleźć miejsce dla każdego mającego ambicje działania w imię ideałów socjalizmu.

Każdy z nas powinien przez własne działanie zdobywać szacunek dla siebie i dla innych, powinien być świadom własnej wartości i celowości swoich działań.



FOT. M. KNIAZIUK

REDAKCJA: Obserwujemy coraz częściej, że środowisko młodych pracowników nauki powoli lecz systematycznie wyzbywa się tradycyjnych kompleksów, coraz wszechstronniej demonstruje świadomość wszystkich niedomagań zarówno swoich, całej szkoły wyższej, jak i organizacji nauki. Nader często słychać truizm, że uprawianie działalności naukowej utraciło znamiona powołania, stało się normalnym wykonywaniem zawodu. Wiele jest narzekania na temat aktywności społecznej młodych pracowników nauki. Jest kilku autentycznych pasjonatów, a co się dzieje z resztą? Wychowują dzieci, zabiegają o mieszkanie, gonią po archiwach w celu zdobycia materiałów do rozpraw doktorskich. Na dodatek wielu z nich obciążonych jest dużą ilością zajęć. Czy jest więc czas na pracę ze studentami, działalność w obrębie organizacji studenckiej. Pragniemy o tym po mówić z wami o waszych bolączkach,



nadziejach i sukcesach. Zaczniemy może od sprawy bardzo dla Was osobistej. Jaka była wasza droga do asystentury? Co zdecydowało o wyborze zostania pracownikiem naukowym?

★

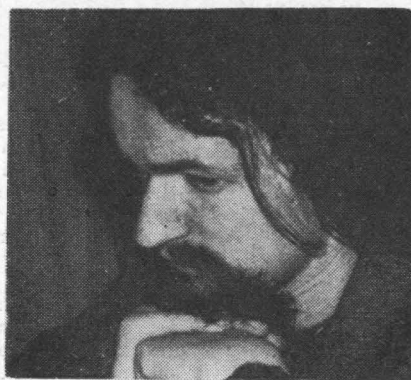
ANDRZEJ BUCK: To są dwie odrębne sprawy. Pierwsza to rzeczywiście nasze wewnętrzne motywacje, predyspozycje, a druga to decyzja uczelni, władz. Praca ta sprawia mi dużą przyjemność, nie dla wszystkich moich kolegów stanowi ona cel indywidualnych dążeń. Pasjonuje mnie również dziennikarstwo. Zawód, który obrałem, pozwala mi kontynuować moje zainteresowania. Pragnę zacząć się teraz oprócz publicystyki także i teorią badań prasoznawczych.

ANDRZEJ HAŁADUDA: Jestem zadowolony z faktu, że mogłem połączyć w swoim życiu osobiste zainteresowania z obecną pracą zawodową. Ukończyłem historię na UAM w Poznaniu. Potem podjąłem pracę w zawodzie nauczycielskim jako kierownik zajęć pozalekcyjnych. Ponieważ zaistniała dla mnie sposobność zatrudnienia na WSP, skorzystałem z nadającej się szansy, tym bardziej, że moje zainteresowania pokrywały się z przedmiotami, jakie są przewidziane w programie studiów. Myślę tutaj o fakultecie filmowym dla studentów pedagogiki k.o. Pisałem pra-

cę magisterską z zakresu filmoznawstwa. Ona mi dała pewne podstawy do pracy naukowej.

WOJCIECH OKONIEWSKI: Ja rosłem z moją uczelnią. Rozpocząłem studia na WSN. Po ukończeniu studiów I stopnia zaproponowano mi etat asystenta technicznego w Zakładzie Matematyki. Ten etat stworzono dla potrzeb Zakładu. Uzpełniłem studia. Byłem — można to tak określić — efektem określonej polityki Zakładu.

ANDRZEJ BUCZYŃSKI: Pisałem dwie prace przejściowe, które są traktowane jako małe dyplomy. Pisałem je u jednego promotora, z którym po zostawałem przez dwa semestry w bliskim kontakcie. Zacząłem staż asystencki jeszcze przed zakończeniem studiów, w czasie ostatniego semestru nauki. Nie byłem jeszcze w tym okresie przekonany, czy robię dobrze zostając na Uczelni. Ciągnęło mnie



trochę do wielkiego zakładu produkcyjnego, do jego problemów, a nie do problemów czysto dydaktycznych. Jednakże nie żałuję wyboru, choć trudności jest wiele.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ: Moja droga do asystentury była podobna do tej, którą przeszedł Andrzej Haładuda. Ja też nie jestem absolwentem tej uczelni, na której obecnie pracuję. Świadomość pracy naukowej wykuwała się u mnie poza Zieloną Górą, na UAM w Poznaniu. Byłem w latach 1968—1973 studentem historii. Pracowałem w organizacjach młodzieżowych (ZMS i ZSP). Pracowałem w kole naukowym historyków. To mi pomogło w wyborze dalszej drogi.

ANDRZEJ HAŁADUDA: Uważam, że o wyborze podjęcia pracy naukowej na uczelni decyduje głównie zamiłowanie, zainteresowanie, cały kompleks indywidualnych predyspozycji. Jest to praca dość wyczerpująca, wymagająca znacznego nakładu pracy, czasu i sił.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ: Podzielałem tę opinię. Liczy się indywidualna decyzja. Nadzieja, że się w tej pracy sprawdzi. Łączę swoją pracę naukową i jej efekty z osobą opiekuna naukowego, promotora dalszych rozpraw, słowem Mistrza.

REDAKCJA: Na ile w decyzji o wyborze pracy naukowej pomogła nam organizacja młodzieżowa? Młody pracownik naukowy to przecież także społecznik.

WOJCIECH OKONIEWSKI: Myślę, że poprzez działalność w organizacji i kole naukowym daliśmy się poznać uczelni, ujawniliśmy swoje zdolności. Wielu z nas jest opiekunami pierwszych lat studiów, a zarazem opiekunami grup działania SZSP.

ANDRZEJ BUCK: Organizacja wystawiła mi pozytywną opinię, dla władz uczelni i kierownika mojego Zakładu. Uczestniczę w wielu ogólnopolskich imprezach studenckich. Poznaję kolegów po piórze — młodych pracowników nauki.

ANDRZEJ BUCZYŃSKI: Dłuższa praca w organizacji dała mi sporo satysfakcji. Teraz, gdy pracuję na u-

Zawsze ważne pytania

czelni, pozostaję z nią w kontakcie. Odczuwam nadal chęć do pracy społecznej. Pasjonuje mnie praca z młodzieżą. To przecież także jeden z przejawów naszej pracy na uczelni. Uczestniczę w pracach studenckiego ruchu naukowego na WSInż.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ: Jeszcze w trakcie studiów historycznych na UAM w Poznaniu wygłosiłem szereg referatów na studenckich sesjach naukowych. Uczestniczyłem jako przedstawieli zielonogórskiego środowiska studenckiego w obradach I Konferencji Naukowej Studentów Państw Socjalistycznych, w Pecz na Węgrzech. Wygłosiłem tam referat na temat kultury politycznej młodzieży. Uczelnia i organizacja tworzą dla mnie całość, bliską sercu, ambicjom i nadziejom.

ANDRZEJ HAŁADUDA: Odczułem po sobie, że działalność społeczna oprócz naukowo-dydaktycznej jest akceptowana i wspierana. Mam tu na myśli swoje osobiste doświadczenia. Propaguję na uczelni kulturę filmową. Praca społeczna zawiera szereg pozytywnych elementów. Uczy aktywności. Przynosi wiele satysfakcji osobistych. Powinniśmy jednak sobie uświadomić fakt, że naszym pierwszym obowiązkiem na uczelni, jest praca naukowa i dydaktyczna. Działalność społeczna i współpraca z or-

ganizacją stanowi w moim przekonaniu bardzo ważne uzupełnienie tej pracy. Nie jesteśmy przecież etatowo związani z organizacją młodzieżową, lecz z uczelnią. I z tego jesteśmy rozliczani. Nie każdy przecież potrafiłaby czyść pracę zawodową z działalnością społeczną.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ: Złe by to było, gdyby SZSP liczyła tylko na pomoc kilku ambitnych i ofiarnych młodych pracowników nauki. I miała również świadomość, że tylko oni zrobią wszystko, co tylko im się zaproponuje. Traci bowiem tym samym z pola widzenia całą rzeszę młodych pracowników nauki na obu uczelniach. O wielu z nich organizacja jakby trochę zapominała. Trzeba do nich częściej docierać, częściej rozma-

dzi na wyższą uczelnię, przychodzi z własnej i nieprzymuszanej woli. Stał się zawsze wychodzić naprzeciw tym, którzy chcą mi pomagać w moich zabiegach dydaktycznych. Niestety, u większości studentów nie widzę jednak chęci do większego uczestnictwa we wspólnej realizacji procesu dydaktycznego. Nie można ciągle prowadzić studenta za rękę. Na nic się zdają nawet najlepsze metody aktywizujące, kiedy brak szczerzej chęci do uczestnictwa w zajęciach.

ANDRZEJ BUCZYŃSKI: Organizacja studencka powinna coraz częściej preferować w środowisku akademickim określone wzorce studiowania. Częściej pokazywać i reklamować wybijających się w procesie dydaktycznym studentów. Nawet naj-

naszego zawodu. Pełnia satysfakcji to świadomość faktu, że wszystkie te sprawy potrafimy umiejętnie realizować. W moim przypadku pierwsze dwa lata pracy na uczelni poświęciłem głównie dydaktyce. Pragnąłem jak najlepiej przeprowadzać zajęcia. Jednocześnie pozostawałem i nadal pozostaję w stałym kontakcie z Kołem naukowym matematyków. „Pita goras”. Na trzecim roku zająłem się wreszcie ściśle moją pracą naukową.

ANDRZEJ BUCZYŃSKI: Mnie najbardziej interesuje automatyzacja technologii produkcji. Zaproponowałem dyrekcji instytutu i zakładu, że pragnę połączyć swoje zajęcia w laboratorium i moje badania naukowe z tematami prac wykonywanych



Na zdjęciach (od lewej) Wiesław Hładkiewicz, Andrzej Buck, Andrzej Haładuda, Andrzej Buczyński.

wiać, oferować pewne propozycje do działania.

REDAKCJA: W obrębie katalogu po winności młodych pracowników nauki mieści się też praca dydaktyczno-wychowawcza. Czy istnieje w Waszym mniemaniu sprzężenie zwrotne w realizacji procesu dydaktycznego w szkole wyższej? Przecież odpowie działni są za efekty na tym polu i nauczyciel akademicki i student?

ANDRZEJ HAŁADUDA: W realizacji procesu dydaktycznego mam zawsze na uwadze interes dużej grupy społecznej, czyli studentów. Czuję się współodpowiedzialny za poziom kultury studenckiej. Liczę tutaj na pomoc ze strony SZSP. Prowadzę zajęcia wiążące się z historią sztuki i filozofią, a także z kulturą. Obserwuję nadal dużą inwencję w życiu kulturalnym i poziomie kultury na niektórych kierunkach studiów. Niepokoi mnie konserwatywność myślowa niektórych studentów. Jeden ze studentów powiedział mi, że od trzech lat nie był w kinie. Takich studentów jest więcej.

WOJCIECH OKONIEWSKI: Nie odczuwam, zbytnio, ażeby w trakcie realizacji przez nas procesu dydaktycznego istniało sprzężenie zwrotne. Student pragnie wiedzieć „od do...”, to mu jakoś odpowiada. Kiedy go próbuję pobudzić do samodzielnego rozwiązywania dość łatwych problemów, to wzbudza w nim zdumienie — jakżeś to? Nasi studenci po prostu się uczą, a nie studiują.

ANDRZEJ BUCK: Ktoś, kto przycho-

bardziej aktywizujące metody, jeżeli będą trafiły w próżnię, to tylko osłabiają wysiłek pracownika.

WOJCIECH OKONIEWSKI: Proces dydaktyczny studenci traktują w wielu przypadkach jako pewnego rodzaju grę. Kto kogo? Na ile uda się im wymigać z przydzielonych zadań, jak najłatwiejszym sposobem zaliczyć by tu można ćwiczenia lub zdać egzamin. Nie obchodzi ich zbytnio, że przecież szczególnie młodzi pracownicy przeżywają wszelkie kontakty ze studentami, na zajęciach. Studenci natomiast widząc u nich pewne niepowodzenia, nie zdają sobie we właściwy sposób sprawy z tego, że oni przeżywają to nie jeden wieczór. Zadają sobie pytanie: dlaczego ten student nie zaliczył mojego przedmiotu, moje działanie poszło w innym kierunku. A student stawia sprawę w ten sposób: będę podchodził do niego tak długo, aż go wreszcie zwyciężę i wygram. Wykorzystują regulamin studiów tylko dla własnych potrzeb.

REDAKCJA: Zaostrzają się z roku na rok wymagania, jakie stawiane są przez władze uczelni w stosunku do młodych pracowników nauki. Rozliczani jesteście za postępy w pisaniu prac doktorskich, za publikacje naukowe, za realizację procesu dydaktycznego, za pracę społeczną. Jakże się wasze prognozy badawcze?

WOJCIECH OKONIEWSKI: Rzeczywiście. Nauka, dydaktyka i wychowanie — oto imperatywy działania w obrębie uczelni. To niejako kanon

przez studentów. Proces dydaktyczny staram się realizować w ścisłym powiązaniu ze swoją pracą badawczą. Odczuwam dużą pomoc ze strony władz uczelni.

ANDRZEJ BUCK: Pracujemy aktualnie nad rozprawami doktorskimi. Brak mi nadal konsultacji naukowych, choć mam już swojego promotora pracy. Wiele pomógł mi w tej sprawie J.M. Rektor. W przyszłym roku wyjeżdżam na staż naukowy do Poznania. Pozytywny to fakt, że wielu z nas ma swoich opiekunów na miejscu.

ANDRZEJ HAŁADUDA: Uczelnia stworzyła mi dobre warunki. Umożliwiono mi odbycie stażu naukowego. W przyszłym semestrze jadę do Łodzi, gdzie będę korzystał z opieki prof. Lewickiego.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ: Powinniśmy być częściej włączani do prac kompleksowych — uczelnianych i międzyresortowych. Ja dla przykładu biorę udział w ogólnopolskich badaniach nad kulturą polityczną młodzieży akademickiej. Opracowałem raport na temat „ZSP i SZSP a formowanie kultury politycznej”. Obrałbym kilka artykułów i szkiców na ten temat.

REDAKCJA: Dziękujemy Wam bardzo za tę rozmowę. Mamy zarazem świadomość faktu, że sprawy te będą nadal poruszane na łamach naszego pisma. Jest to bowiem temat, o bok którego mimochodem przejść nie można.



FOT. J. KRZEMIENIEWSKI

Do SZSP wstępuje prawie każdy student. Różne czynniki skłaniają go do podpisania deklaracji członkowskiej. Faktem jest jednak, że stopień zorganizowania szczególnie na latach najmłodszych jest bardzo wysoki i często przekracza 90 proc. Sytuacja wygląda podobnie również w naszym środowisku. Działacze narzekają jednak, że mobilność środowiska jest mała, że nikła jest aktywność członków. Studenci stwierdzają, że nie bardzo widzą, o co w tym Związku chodzi, czego się właściwie od nich chce. Nie każdy przecież nadaje się do rządzenia.

Z organizacją utożsamia się zazwyczaj tylko grupę działaczy, którzy „z klucza” zasiadają w Senacie, rozmaitych ważnych radach i komisjach, analizują i wywieszają plakaty, organizują imprezy i potem w nich uczestniczą stanowiąc jedyne audytorium. Pot splywa im z czoła i przechodzą zimne dreszcze, gdy za wisnie nad głową kilka zaliczeń i za legły egzamin. Reszta tymczasem... śpiewa w chórze, trenuje, uprawia karate, jeździ na koniach, robi teatr, lub piosenkę, pracuje w „Gronie” i w Radzie Mieszkańców, opiekuje się trudnymi dziećmi w pogotowiu opiekuńczym, robi audycje lub po prostu się „byczy”.

W środowisku akademickim wychodzi się z założenia, może nawet trochę na wyrost, że student jest dorosły, że sam decyduje o swoim miejscu i o sobie.

Sami studenci mają szczególne tendencje do ignorowania wszelkich rad, są przecież dorośli, zaradni, bar dzo samodzielni.

SZSP wyszedł tej samodzielności naprzeciw. Wypracował bardzo szeroki, aktualny dla każdego zainteresowanego program, rozwinął samorządność umacniając rolę studenta —

Kim są?

czego pragną?

członka organizacji — w uczelni. Tych uprawnień, praw, możliwości ma dzisiaj student tak wiele, że aż wszystkich nie zna. Przeciekają nam więc gdzieś między palcami możliwości... Żyje w nieświadomości swoich dużych możliwości.

Polityka SZSP jest tak prowadzona, że przynależność do Związku nie zabezpiecza nikomu żadnych dodatkowych praw, wiąże się natomiast z szeregi obowiązków.

Studenci wiedzą o tym, lecz i tak w znacznej liczbie decydują się wstąpić do Związku. Czy to ambicja, czy chęć poparcia programu SZSP, czy czyste asekuranctwo, tak na wszelki wypadek? A może wstępują po prostu jak wszyscy? Kiedy już wstępują, mają jedną wspólną cechę. Posiadają legitymację w niebieskich okładkach ze złotym napisem SZSP, często jest to ich cecha wspólna i jedyna.



Mimo, że są razem, często nie mają ze sobą nic wspólnego. Niekiedy nie znają nawet swoich imion, mimo, że jest ich tylko trzydziestu, a są ze sobą od 4 lat. Nazywają się grupą działania mają swojego szefa, często koźła ofiarnego, który za nich wszystko załatwia i dużo praw. Są wśród członków grupy przedstawiciele wysokich instancji SZSP, członkowie senatów uczelni — młodsi badacze, uczestnicy spotkań z ministrem i przewodniczącym Rady Państwa, są prymusi, artyści, są młode żony, mężowie. Każdy z nich kroczy jakąś swoją drogą życiową, cele jednych są bardzo sprecyzowane inni ich jeszcze szukają. Są wśród nich osoby bardzo odporne psychicznie i nerwicowcy, szczęściarze i pechowcy, prawie wszyscy należą do SZSP. Nigdzie indziej jak w grupie działania studenci nie mają tak wiele wspólnego, nigdzie indziej nie spędzają ze sobą tyle czasu, nigdzie indziej mając tyle wspólnego nie potrafią być dla siebie tak obcy. Nikt inny tak jak grupa działania nie stanowi o sile i prężności SZSP. Mówimy, że grupa działania jest podstawowym ogniwem SZSP, że jest podstawowym ogniwem życia społecznego

go szkoły wyższej. O co tu chodzi, dlaczego problem ten dyskutuje się od lat, od powstania SZSP, a nawet jeszcze wcześniej? Czy można, czy warto nazywać tę zróżnicowaną grupę ludzi ogniwem podstawowym, najważniejszym? Uważam, że tak. Pod warunkiem, że grupa działania jest zgodna z rzeczywistością. W Organizacji mówi się, że grupa działania jest najważniejsza, że od jakości grupy zależy poziom Związku.

Uważam, że z prawidłową pracą grupy związana jest głównie aktywność każdego członka SZSP, możliwa jedynie w przypadku takiej pracy. Szereg rozważań nad grupą działania ma charakter czysto teoretyczny bądź utopijny i wysunięte w ich trakcie wnioski nie wytrzymują zdzenia z rzeczywistością.

Osobiście nie jestem zwolennikiem „zasypywania” grup działania coraz to nowymi wymyślonymi „gdzieś w górze” zadaniami. Uważam jednak, że są sprawy, których nikt inny za grupę działania dobrze nie zrobi. Kto bowiem jest w stanie zastąpić grupę w kształtowaniu koleżeńskości, szczerości, otwartości i odpowiedzialności? — Gdzie, jak nie w grupie, można się nauczyć dyskusji, przełamać nieśmiałość, po raz pierwszy w życiu powiedzieć swoje zdanie. Można w niej także nauczyć się ucziwości i sprawiedliwości przy przyznawaniu pomocy materialnych oraz spróbować swoich sił organizacyjnych, przełamać nieufność i nauczyć się wiary w siebie. Gdzie jak nie w grupie można liczyć na pomoc kolegów, gdy się ma kłopoty z nauką.

Chciałbym, aby każdy student sam stanął o sobie, aby nie zdawał się na decyzje innych. Stwierdzenie, że student ma być aktywny znaczy, że powinien zajmować określone stanowisko we wszystkich sprawach dotyczących jego samego jak również całego środowiska i uczelni. Jest to oczywiście możliwe przede wszystkim w grupie działania. Tego naszej organizacji wojewódzkiej i samemu sobie życzę.

ZDZISŁAW WOLK

WRAŻENIA Z BAWARII

Wiesław Hładkiewicz

W miesiącu wrześniu 1978 roku uczestniczyłem w międzynarodowym kursie z zakresu doskonalenia języka i warsztatu naukowego zorganizowanym przez Uniwersytet w Augsburgu. Miasto to stanowi centrum administracyjne Szwabii, jednego z siedmiu krajów związanych z Frei Staat Bayern, czyli Wolnego Państwa Bawarii. W kursie uczestniczyły 62 osoby. Najwięcej uczestników przybyło z Wielkiej Brytanii (15 osób), Francji (9), Włoch (8), Polski (5), Portugalii i Hiszpanii (4). Trzy osoby przybyły ze Szwecji i USA, po dwie z Belgii i Turcji. Po jednej zaś z Danii, Irlandii, Izraela, Finlandii, Szwecji i Jugosławii. My Polacy byliśmy stypendystami Deutsche Akademische Austausch Dienst (DAAD).

Na uniwersytecie w Augsburgu studiuje obecnie około cztery tysiące młodych ludzi. W najbliższych latach planuje się zwiększyć liczbę studentów do dziewięciu tysięcy. Jest to bardzo młoda uczelnia. Jako placówka naukowa funkcjonuje w obecnej postaci od 1969 roku. Posiada m.in. silny Wydział Katolicko-Teologiczny i Prawa. Rośnie w oczach nowy kompleks gmachów uniwersyteckich na periferiach miasta.

3.11.1978 r.

Samotny „wypad” do Monachium. Z Augsburga droga koleją niemiecką w czasie — zaledwie kilkadziesiąt minut. W pobliżu dworca głównego znajduje się Kaufingerstrasse. Jest niedziela. Tłumy spacerowi-

czów. Najczęściej są to przyjezdni. Bacznie rejestruję. Oto młody chłopiec o blond włosach gra na gitarze. Pewnie student. Młody kaleka (bez nóg) z długą brodą i w okularach reklamuje wszem i wobec walory swoich pieszczalek. Nieco dalej podpity Murzyn tańczy z kuflem piwa na głowie. W Sex-Shopie schludnie odziani starym wrzucają monetę, ażeby obejrzeć kilkunasto minutowy seans pornograficzny. W podcieniach jednego z domów młoda dziewczyna wy-

stek ordynarnie napastuje karnozdieję. Ten jest wystraszony i poirytowany, lecz tłum przypatruje się tej scenie z uśmiechem i obojętnością. Przecież wszystko dozwolone. I jeden i drugi niech czyni co chce. Warto się temu przyglądać. Stateczni mieszkańcy nie mogą się przecież zanudzić na śmierć. 4.09.1978 r.

Spotykamy się po raz pierwszy w renesansowym ratuszu Augsburga, gdzie oficjalnie powitali nas przedstawiciele władz miejskich



śpiewuje arie. Przy bocznych drzwiach katedry mężczyzna w wieku 40 lat trzyma w rękach napis, w którym prosi o jedzenie i dach nad głową. Za chwilę najeżdża radiowóz policyjny. Oglądam się za siebie. Stojący znikają jak kamfora... W jakiś czas potem wychodzi z wnętrza kościoła i dalej wyczekuje. Takich sytuacji na Kaufingerstrasse spotykam o wiele więcej.

Przed ratuszem nowy tłum gapiów.

Słuchają o końcu świata i nadejściu królestwa diabła. Zło wiedzie do powszechnej katastrofy. Pijany wyro-

raz uniwersyteckich. Byli wśród nich m.in. referent komunalny Reinhold Wenninger, wiceprezydent uniwersytetu prof. Franz Schaffer oraz pełnomocnik uczelni ds. zagranicznych prof. prawa rzymskiego Henning Krauss. Ciepłe słowa powitania. Uśmiechy. Toasty. I pierwsze nawiązanie kontaktów towarzyskich. Pożną nocą dotarłem dopiero do swego mieszkania. Jutro pierwsze zajęcia...

5.09.1978 r.

Zajęcia prowadzą z nami K. Klotz, H. Mayer i dr Plocher. Laboratoria, ćwiczenia, wykłady. Pomocą słu-

ży nam podręcznik „Deutsch x 3 Ein moderner Sprachkurs für Ausländer”. Teksty przerabiane dotyczą m.in. problemu Gastarbeiterów w RFN, systemu wyborczego bezrobocia, życia kulturalnego i kontaktów międzynarodowych. Niejednokrotnie stanowią odskocznnię do ożywionej dyskusji.

Nasi koledzy z Meksyku, Portugalii i Anglii często pytają o status Berlina Zachodniego, o sytuację społeczno-polityczną w NRD.

5. 09.—9. 09. 1978 r.

W chwilach wolnych od zajęć każdy pragnął poznać historię i teraźniejszość Augsburga. O tych sprawach informował nas dr Plocher. Miasto ma ponad 2 tys. lat. Mieściła się tutaj twierdza rzymska, którą założył cesarz Augustus Drusus. Rzymska nazwa miasta brzmiała Augusta Vindelikorum. W czasach Celtów miasto zwało się Rätien. Od zarywania Augsburg stanowił ważne centrum handlowe i strategiczne. Swój rozkwit osiągnął za czasów słynnych w całej Europie rodaków kupiecko-bankierskich Fuggerów i Welserów. Od 1276 roku Augsburg posiadał status wolnego miasta. Podczas wojny 30-letniej miasto zajęli Szwedzi.

W 1806 roku Augsburg został włączony w skład Bawarii. W 1555 r. zawarto tutaj pokój religijny. W mieście tym przebywał Marcin Luter oraz żył Bertolt Brecht. To tutaj rzucono hasło „Cujus regio, ejus religio”. Ewangeliści uzyskali swobodę wolności sumienia. W centrum miasta zachował się do dzisiaj cały kompleks budynków Fuggerów (tzw. Fuggerei). W podziemiach byłego głównego banku Fuggera mieści się „Fuggerkeller”. Dla studenta ceny są tam bardzo wysokie. Omijaliśmy więc ten lokal z daleka. Hamburgera i piwo o wiele taniej można zamówić w licznych knajp-

kach tego szacownego miasta.

9.09.1978 r.

Całodzienny wypad w Alpy. Trasa sobotniej wycieczki. Neuschweinstein — Wies — Linderhof. A więc piękno przyrody, czystość i spokój bawarskich wiosek oraz Ludwik II...

To był typowy „Märchen könig” — mówi nam na jednym z spotkań poświęconych historii Bawarii dr

liony szczegółów. To oszałamia, lecz i wzbudza szczery zachwyt. Na budowę tych zamków wydał ogromne sumy i to w czasie, kiedy Niemcy wchodziły na drogę kapitalizmu. Samotnik i mistyk. Tak dalece unikał ludzi, że ze swoimi ministrami komunikował się jedynie za pomocą listów. Znosił tylko obecność służby i ordynansów. Królestwo stało długami i anarchią. Wobec takiego stanu rzeczy członkowie domu królewskiego i

trzaskają fleszami. Byle przedeź zrobić slajdy i dalej — na północ Niemiec. Mój przyjaciel z Japonii, Bundzi Nakai, uśmiecha się pobłaźliwie i mówi do mnie: „Jak to dobrze, że nie przybyłem tutaj wyłącznie jako turysta”. W drodze powrotnej do Augsburga przejeżdżamy przez typową wieś bawarską — Amergau. Jaka czysta, schludna i spokojna. Domki niczym z bajki. To właśnie w tej wsi, jak głosi anegdota, młodzi chłopcy chodzą jak apostołowie. Nad wyraz często odwiedzają miejscowych fryzjerów, goliąc włosy, bo nie chcą iść do Bundeswehry. Uciekają także chętnie do Berlina Zachodniego, gdzie młodych ludzi nie obowiązuje służba wojskowa.

10.09.1978 r.

Piękna, słoneczna niedziela. Jedziemy do Ottobeuren. Miejscowość ta położona nie całe 100 km od Augsburga znana jest w całych Niemczech Zachodnich ze swej pięknej barokowej bazyliki starego klasztoru ojców benedyktynów. W bazylice od bywają się wielkie koncerty, na których można spotkać wielu europejskich polityków. My mieliśmy okazję wysłuchać w tym dniu Niemieckiego Reguiem Johanna Brahmsa. Cena biletu niebagatelna — 19 marek zachodnioniemieckich. Wstęp jednak fundował nam Uniwersytet. Bilety są o wiele droższe, szczególnie za miejsca w pierwszych rzędach, lecz Niemcy i turyści z całego świata nie zważają na koszty. Tyle się przecież o tym mówi, trzeba więc być na takim koncercie. A gdy po powrocie z

weekendu sąsiad zapytał — gdzie państwo byli i usłyszy: w Ottobeuren, wówczas odpowiada: a to wspaniale, cudownie, lecz to drogo kosztuje, prawda? Niemcy bardzo lubią się zachwycać.

15.09.1978 r.

Na wykładzie prof. Helmuta Koopmanna: „Herman Hesse und seine Wirkung”. W 1977 roku przypadła setna rocznica jego urodzin. Jego książki były tłumaczone prawie we wszystkich językach świata. Nakład jego książek sięga prawie 30 mln egzemplarzy. W Japonii jego książki wydano 12 mln egzemplarzy, w Ameryce 11 mln.

Prace jego znane są także w Związku Radzieckim,

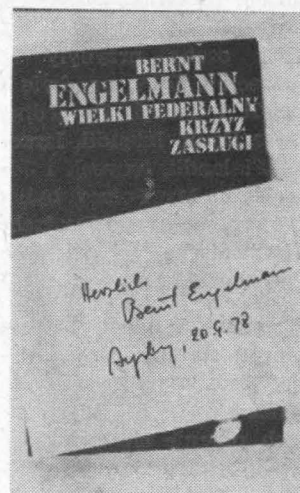


Plocher. Syn króla Maksymiliana II i królowej Marii, księżnej pruskiej. Przyszedł na świat w 1845 roku. Wstąpił na tron po śmierci ojca w 1867 roku. Jego ulubieńcem i najbliższym zaufanym był Ryszard Wagner, którego opera „Lohengrin” pochłonęła go bez reszty. To był wielki samotnik. Muzyka przyszłości Wagnera i romanse — chłonął je bez reszty. Dr Plocher: „Zamki, które budował wysoko w Alpach były konsekwencją chorego umysłu. Nie był romantykiem, to raczej dziećciem romantyzmu. Fenomen dekadencji. Produkt sfrustrowanej generacji. Wzorem była dla niego absolutystyczna monarchia Ludwika XIV. To on przecież rzekł: „Państwo to ja!”. Mieszkał najczęściej w Linderhof, Neuschweinstein. Powstały jako zlepek różnych stylów architektonicznych. Barok i rokoko. Styl mahometkański i romański. Przepych i mi-

ministrowie uznali króla za cierpiącego na rozstrój umysłu, za obłąkanego i po stwierdzeniu choroby przez lekarzy wybrali regenta — księcia Leopolda, który objął rządy w imieniu młodszego brata Ludwika II — króla Otto, również obłąkanca. Ludwik został natomiast przewieziony do Neuschweinstein do zamku Berg, gdzie podczas spaceru rzucił się do jeziora. Starnberg utonął. To samo spotkało również jego przyjaciela dr Goddena, który próbował go ratować.

Tak odszedł pan na Alpach.

W drodze z Neuschweinstein do Linderhof zatrzymujemy się na krótko w Wies. Zwiedzamy tutaj przepiękny barokowy kościół, który zbudował Dominik Zimmermann z Landsbergu, żyjący w latach 1685—1766. Gwar no. Zdyszani Japończycy



Korei, krajach skandynawskich i latynoamerykańskich. Prof. Koopmann: „Obserwujemy renesans twórczości Hessego. Wzrasta skala zainteresowań problematyką egzystencji człowieka, o której tak wiele pisał Hesse. W latach 20-tych fascynował, później wielu stwierdziło, że był anormalny. Uderza poetycki trywializm autora „Mistrza i ucznia” „Narcyzm - medium - nostalgia” — oto sfery jego inspiracji”.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Szaleństwo rozpoczęło się w lutym. Najpierw Lubsko potem Szczecin, wreszcie Toruń. Same sukcesy. Ale PLUS, bo o nim będzie tutaj mowa, szybko otrząsnął się z „wielkich sukcesów” i ostro zabrał do pracy. Przecież w maju XV Festiwal Piosenki Studenckiej w Krakowie! Jak się jednak okazało za parę tygodni, praca, niestety poszła na marne. Bo... nie dopełniono formalności (chciałbym wiedzieć, kto był za to odpowiedzialny?) i PLUS do Krakowa nie pojechał. Wszyscy żalowali: „...no jak to, dlaczego, przecież?...” Nikt jednak nie zainteresował się bliżej tym epizodem. Tak minął miesiąc...

Pod koniec maja do Tekturowca nadeszła tajemnicza przesyłka. Jakież było zaskoczenie, a potem radość, kiedy poznano jej wartość. Było to zaproszenie do Opola! A więc jednak... Sny o tzw. karierze estradowej stawały się od tego momentu coraz bardziej realne. Nagrania w PR w Zielonej Górze, krótka audycja dla studia „Gama” wszystko to dzięki wielkiej sympatii i zainteresowaniu całą sprawą red. Eugeniusza Banachowicza z redakcji muzycznej. Lotem błyskawicy rozchodziła się niecodzienna wieść — że jakaś tam grupa studencka z Zielonej Góry w Opolu, tego jeszcze nie było!

60 wykonawców, którzy prawie w komplecie zjechali do stolicy polskiej piosenki, reprezentowali najprzeróżniejsze festiwale i konkursy. Wszyscy byli jakby poszuffadkował: ci z Torunia, ci z Krakowa, jeszcze inni ze STUDIA DEBIUTY TV Katowice,... itd. Ten sztuczny podział był niewątpliwie przyczyną dość dziwnej atmosfery panującej wśród „adeptów sztuki estradowej”. Przez dwa tygodnie tzw. warsztatów, które po przedziały eliminacje do koncertów finałowych, dał się odczuć jeszcze wyraźniej podział wg tzw. „stopnia pazerności na potencjalny sukces”.

Co się działo po koncertach eliminacyjnych w teatrze im. Jana Kochanowskiego, trudno opisać. Spośród 60 wykonawców jedynie 24 festiwalowe jury (czyt.: „starsi panowie dwaj”) zakwalifikowało do dalszych bojów. I tak odpadły z rywalizacji m. in. NASZA BA-

SIA KOCHANA, WAŁY JAGIEL LOŃSKIE (późniejszy laureat nagrody dziennikarzy) itd., itd., itp.

PLUS przebrnął jednak i tę próbę zwycięsko, może dlatego, że przystąpiliśmy do niej na pełnym luzie bo byliśmy wszyscy zgodni co do tego, że samo zaproszenie było dla nas już dużym sukcesem. Nie wiedzieliśmy, że powoli wokół naszego „podmiotu wykonawczego” zaczyna krążyć coraz więcej plotek — wyraźny znak, że stajemy się „sławni”.

Dwa dni dzielące nas od koncertu w amfiteatrze spędzaliśmy bądź to na próbach, bądź przy telewizo-

bym makijażem na nieco stremowanych obliczach dziarsko wkrocza na estradę. Jeszcze tylko zapowiedź: „...wszyscy są studentami wydziału muzycznego WSP w Zielonej Górze” i naprzód! przecież ogłada nas cała Polska, pewnie i nasi nauczyciele i bliscy.

A może wreszcie ktoś się nami zajmie?

Ta błoga niepewność trwała za ledwie 4 minuty. Owszem jakiś pan z TONPRESSU proponował nam nagranie małej płyty, a przez kilka dni w plebiscycie studia „Gama” serwowano słuchaczom „Natkę molową”, ale rozeszło się

SAME SUKCESY?



Grupa
«P L U S»

Fot.
V. Warsińska

rach, obserwując „Mundial-78”. Wreszcie stało się..

19 czerwca — amfiteatr pełen publiczności, na estradzie i za kuli sami wielki szpan. Orkiestra na swoich miejscach, Waldemar Parzyński jak zwykle uśmiechnięty. Z właściwym sobie tylko wdziękiem Maria Wróblewska rozpoczęła pierwszy koncert potem wszyscy ko idzie już jak po maśle. Reżyser Ryszard Kubiak odprowadza wszystkich trzęsących się jak galarety „artystów” do samego wyjścia na estradę. Tam już telewizyjne kamery, reflektory, fotoreporterzy, słowem kariera.

PLUS (tym razem czyt. dowolnie: pingwiny albo kelnerzy) w swych nienagannych strojach estradowych (własność TV), z gru-

wszystko jakoś po kościach. Mimo to byliśmy zadowoleni, bo statystycznie rzecz ujmując wykonaliśmy 200 proc. normy.

Werdykt jury tym razem zaskoczył wszystkich, chyba nawet samych jurorów, co znalazło swój wyraz w komentarzach prasowych i oczywiście w niekończących się rozmowach kłularowych. Wreszcie szczęśliwcy odebrali nagrody i rozjechano się do domów.

Szaleństwo zwykle kończy się ośmiedem. Tak było i tym razem. Wszystko toczy się jak dawniej, PLUS nadal ćwiczy w ukryciu, „mecenasi”, ci co to zgłaszali chęć pomocy, dyskretnie się wycofali. Nowi nie chcą się zgłaszać. I znowu sami, niezauważeni, nikomu niepotrzebni...

ANDRZEJ GAJDA

Uwaga!**Uwaga!**

KONKURS O LAUR »FAKTOROWEGO PIÓRA«

Komisja Propagandy i Szkoleń ZW SZSP oraz Redakcja studenckiej jednodniówki „Faktor” ogłaszają stały konkurs dziennikarski o laur „Faktorowego Pióra”. Konkurs rozstrzygany będzie w trzech kategoriach:

1. Za najciekawszy studencki debiut prasowy.
2. Za najbardziej interesującą publikację dla dziennikarzy studenckich po debiucie.
3. Za najciekawszy utwór poetycki (Laur poetycki „Faktorowego Pióra”).

ZASADY KONKURSU:

1. Udział w konkursie mogą brać studenci zielonogórskich szkół wyższych.
2. Pierwsza edycja konkursu zostanie rozstrzygnięta w lutym 1979 roku. Jury weźmie pod uwagę publikacje prasowe (publicystyka, esej, reportaż, wywiad itp.), które ukazały się na łamach zielonogórskich wydawnictw studenckich (jednodniówka „Faktor”, dod. „Młoda Myśl” do „Nadodrza”, dod. „Studenckie Szpalaty” do „Gazety Lubuskiej”, biuletyny itp.) oraz na łamach środowiskowej prasy profesjonalnej pisane przez studentów, a dotyczące problematyki studenckiej i młodego pokolenia.
3. Jury weźmie też pod uwagę materiały napisane i nadane specjalnie na konkurs na tych samych zasadach, a wyróżnione prace będą publikowane.

4. W lutowej edycji konkursu jury uwzględni okres od lipca 1978 roku do stycznia 1979 roku włącznie.
5. Organizatorzy nie ograniczają tematyki konkursu ani form wypowiedzi. Interesują nas jednak najbardziej materiały dziennikarskie i poetyckie pełne intelektualnego, społecznego niepokoju, teksty twórcze i postulatywne dotyczące spraw młodego pokolenia, ze szczególnym uwzględnieniem środowiska akademickiego Zielonej Góry. Jury premiować będzie szczególnie oryginalność ujęcia problemu, ciekawą formę dziennikowego opisu oraz dojrzałości wypowiedzi.
6. Organizatorzy przekonani są o społecznej i inspirującej roli konkursu szczególnie dla: ujawnienia nowych piór dla studenckiej prasy oraz dla uzyskania obrazu młodego pokolenia współczesnych Polaków. Pragnie też nagrodzić społeczną pracę studenckich dziennikarzy.
7. Materiały należy nadsyłać na adres Zarządu Wojewódzkiego SZSP, ul. Westerplatte 30, 65-034, Zielona Góra, z dopiskiem „Faktorowe Pióro”.
8. Organizatorzy przewidują ciekawe i atrakcyjne nagrody dla uczestników oraz przyznanie symbolicznych laurów „Faktorowego Pióra” i dyplomów.
9. Jury wprowadza też dodatkową kategorię. Prosi o nadsyłanie w tym samym terminie zestawów wierszy (10 utworów). Autor najlepszego zestawu wierszy zostanie nagrodzony, a jego zestaw opublikujemy w formie 4 stronicowego Arkusza Poetyckiego w „Faktorze”.

REDAKCJA

Chłopcy z czwartej „a”

Wykorzystując wiedzę zdobytą na fakultecie teatralnym, Eugeniusz Koniczny (student IV roku pedagogiki kulturalnej z WSP), zorganizował wieczór indyjski, gdzie wśród scenografii wykonanej przez kolegów studentów odbyło się przedstawienie dla dzieci — inscenizacja bajek staroindyjskich.

Rzecz miała miejsce w grudniu ubiegłego roku w Domu Kultury im. Janka Krasickiego w Zielonej Górze. Ale teatralna iskra zaczęła płonąć. Już w parę minut po widowisku zaprosił dzieci znajdujące się na sali do pracy w teatryku. Chłopcy z czwartej „a” (Szkoła Podstawowa nr 14 w Zielonej Górze) zostali aktorami... Ich pierwszym przedstawieniem, z którym zawitali do swych byłych przedszkoli, była trójaktówka „Zaby”, według bajek Lafontaine’a, Krasickiego i Mickiewicza.

Chłopcy Genka grają bardzo naturalnie, entuzjastycznie... Takich starych, małych aktorów jest niewielu: Waldek, Andrzej, Zbyszek, Tomek. Trzynastoosobowy zespół jest w ciągłej rotacji. Teatryk do przedstawienia był przygotowywany przez kilka osób. Genek korzystał z uwag pani Ireny Dragan, dyrektora Sceny Lalkowej Lubuskiego Teatru, która pomagała w analizie scenariusza „Zaby” (napisanego przez Genka) i opracowywaniu didaskaliów. W reżyserii przedstawienia pomagał Tadek Stojek, kierownik Studenckiego Teatru „Krotas” z WSP. Natomiast aktor zielonogórskiego teatru, pan Kazimierz, uczestniczył w próbie generalnej i pomógł w stworzeniu ostatecznego kształtu „Zab”. Muzykę opracował Rysiek Iwanowski z filologii polskiej, scenografię razem z dziećmi z teatryku wykonał student wychowania technicznego Tadek Ma-

zur. W czasie Bachanaliów chłopcy wystąpili w miasteczku bachanaliowym i bardzo się podobał (pisano o nich w pierwszym numerze biuletynu bachanaliowego w informacji pt. „Dzieci studentom”). Są ze sobą i swym panem Genkiem bardzo za przyjaźnieni. Ich aktorska przygoda trwa. Obecnie pracują nad sztuką w dwóch aktach opartą na motywach rosyjskich baśni według przekładu Konrada Szachnowskiego pt. „Iwan — carski syn, wilczyśko i inni”. Genek w tym roku kończy studia i wcale nie myśli z chłopcami tak szybko zerwać, postarał się nawet o swoich następców — są to młodsze koleżanki z pierwszego roku pedagogiki kulturalnej, które przejmują zespół na kilka lat. Tak więc Genek i jego teatralna pasja dalej trwa.

M. KOWALSKA

Jury konkursu „Wakacje 78”, ogłoszonego w czerwcowym wydaniu „Faktora”, w składzie: Andrzej Buck — przewodniczący, Wiesław Hiadkiewicz, Andrzej Gajda — sekretarz, Ryszard Zaradny, postanowiło przyznać dwie nagrody — Zbigniewowi Skoczylasowi (godło „Kluka”) za pracę „Wakacje w siodle” oraz Marianowi Łysakowskiemu (godło „Wiśka”) za pracę „A my do Indii”. Nagrodzone prace będą drukowane. Uzasadnienie werdyktu brzmi: „Prace zgłoszone na konkurs nie spełniły oczekiwań organizatorów. Niepokoi również słabe zainteresowanie konkursem przez koleżanki i kolegów oraz uboga wartość merytoryczna zgłoszonych prac. Zaleca się organizatorom przeanalizowanie dotychczasowych zasad konkursu oraz sposobu jego rozpropagowania”.

REDAKCJA

WAKACJE W SIODLE

Wybrzeże. Morze, słońce i rajd... ro werowy. To dziwaczne zestawienie tylko z początku może wydawać się nietypowe. Plaża kojarzy się z reguły z leniwym smażeniem się w słońcu, od czasu do czasu przerywanym kąpielą w morzu. My, tzn. studenci WSP i WSInż., chcieliśmy inaczej. Pragnęliśmy spędzić dwa tygodnie nad morzem, ale w sposób raczej niezwykły. Jako ludzie z natury ruchliwi uznaliśmy, że o wiele ciekawiej będzie widzieć zachodzące nad Bałtykiem słońce nie w jednym miejscu, lecz w wielu pięknych nadmorskich miejscowościach. Aby zrealizować to założenie, jako środek lokomocji wybraliśmy rower. Postanowiliśmy wcielić w życie nasze marzenia. Już od marca, a może i wcześniej, kiedy pomysł tego rodzaju wyprawy zaczęło poznawać coraz więcej osób, zaczął kształtować się zespół wybrańców — gotowych spędzić część wakacji w siodle.

Długie narady przy mapie rodziły pytania: skąd wyruszyć, dokąd dojechać, aby możliwie najlepiej wypocząć, najwięcej zobaczyć i przy tym nieco pojeździć rowerem. Szkic trasy przygotowany przez Lidkę, Dankę i przeze mnie zaakceptowali wszyscy przyszli uczestnicy. Mieliśmy wyruszyć z Kołobrzegu i nie oddalając się od brzegu dojechać do ujścia Wisły. Pytaniom: jak będzie, czy zespół będzie zgrany, nie było końca. Mimo, że większość rajdowców w imprezie tego typu miała wzięcie udziału po raz pierwszy, mimo że niewielu jeszcze wiedziało na czym polega smak wielodniowej rowerowej wędrowki, wszyscy od początku uwierzyli w sens i powodzenie wyprawy. Nie wszyscy udało się z góry przewidzieć i zaplanować. Ale gdyby tak było, to nasza impreza nie różniłaby się zasadniczo od orbisowskiej wycieczki. Wiele miało zależeć od naszej pomysłowości, twórczej inwencji i lotu szczęścia.

W składzie czternastoosobowej grupy, która wyruszyła z Kołobrzegu, byli: polonistki i germanistki, koleżanki z wychowania przedszkolnego, przyszły historycy i inżynierowie. Zadaniem naszym było po godzinie indywidualnie zainteresowania dla dobra obozu. Każdy z uczestników mógł swoje umiejętności wykorzystać z pożytkiem dla innych.

Koleżanki z przedszkolnego dbały o nasze podniebienie. Chłopcy to urodzeni mechanicy, dbali o dobry stan techniczny rowerów, życiem ryzykowali przy rozpalaniu benzynowych kocherów, a w przy płycie dobrej woli pomagali ustawiać dziewczętom namioty. Była też służba informacyjna turystyczno-krajoznawcza. Elżbieta dbała znakomicie o to, byśmy nie stali się szarymi polykaczkami kilometrów. Codziennie dobierała sobie do pomocy — jako szef tejsze służby — spośród nas przewodników, których zadaniem było informowanie rajdowców o trasie, o atrakcjach krajoznawczych, muzeach, zabytkach.

Hania — szef zaopatrzenia. Od czasu, kiedy Ona zajęła się zakupem prowiantu i układaniem jadłospisu, nawet najbar dziej wybredni znajdowali coś dla siebie. Ach, te przepyszne kanapki ze świeżych bułek, ogórków, pomidorów, czasem z rybką, serów, przygotowywane przez naszą Jolę, Lilianę, Ewę, Grażynę, Lidkę i Elżbietę. Dziewczęta okazały się kulinarnymi mistrzyniami, Kochermistrze — Karol i Benek nie żalowali herbaty, która przy

pominała raczej zupełnie czarnobrunatnym zabarwieniu — ten specjal wszystkim jednak smakował. Nadmorskie powietrze sprzyjało wzrostowi apetytu.

Realizacja naszych zamierzeń rozpoczęła się 15. 08. 78 r., kiedy to zjechali się uczestnicy do „Wcześniaka” gdzie mieliśmy zgromadzony sprzęt. Jeszcze w tym dniu wybraliśmy się na pierwszą wycieczkę po mieście. Jan jako pierwszy złapał gumę. W parę godzin później przyszła kolej na Prezesa. Ostatecznie jednak liderem w przebijaniu dętek został Edek — miał trzy razy okazję do klejenia. Już podczas tej przejażdżki pewne funkcje na

rzyły wspaniałą scenerię. Ognisko i płasy przy nim dodawały uroku i czyniły niepowtarzalną atmosferę. Oto za chwile trzynastu uczestników ma otrzymać tury styczne szlify. Kandydat na turystę kołarza podchodzi do Prezesa, który namaszcza go olejami wyciekającymi z rowerowej pompki, po czym Diabeł — Karol prowadzi delikwenta do morza. Skrapiając twarz przyszłego turysty woda wypowiada słowa: „Ocieram tobie pot rdzawy. Zycze tobie, abyś mężnie trudy wędrowki znosił”. Następnie Mistrz Ceremonii — Jan i Prezes zatwierdzają — przez dotknięcie pompką i mieczem ra-



Fot. ZBIGNIEW SKOCZYLAS

rzuciło samo życie. Janek jechał na końcu jako „czerwona latarnia”, prowadzącym był Prezes. Na trasie rajdu zmienialiśmy się jednak pozycjami dla urozmaicenia jazdy.

Przedłużające się opóźnienie pociągu do Szczecina zmusiło nas do biwakowania na peronie zielonogórskiego dworca. Następny biwak urządziliśmy sobie już na cam pingu w Kołobrzegu. Zwiedzając to miasto zwiedziliśmy m. in. Muzeum Oręża Polskiego. Dotarliśmy też do miejsc, gdzie 18 marca 1945 roku żołnierze I Armii WP dokonały symbolicznych zaślubin z morzem. Tego samego dnia po kocherowym obiedzie zwinęliśmy nasz obóz. W strugach deszczu wyruszyliśmy na trasę pierwszego etapu naszej wędrowki. Późnym wieczorem zmarzniętych i przemokniętych przegranał pod dach stołowy gościńców rolnik z Sarbinowa. Mogliśmy odpocząć na świeżym powietrzu po przejechaniu 45 km. Następnego dnia pokonałszy jeden z najbliższych odcinków o długości 60 km, z Sarbinowa dojechalśmy do miejscowości Dąbki.

Czwarty dzień wyprawy długo będziemy pamiętać. Położony na wysokim klifowym brzegu Jarosławiec przyjął nas piękną, słoneczną pogodą. Dzień odpoczynku spędziliśmy na plaży. Ewa — dusza imprez kulturalnych, wspólnie z Jasiem i kilkoma jeszcze osobami przygotowała na wieczór zabawę, którą nazwaliśmy „pasowanie na turystów kołarzy”. Odwołaliśmy się do starych wodniackich chrztów na równiku, do rycerskich tradycji adoptując te obrzędy dla naszych potrzeb. Po zachodzie zebrałmy się na brzeg morza, Roziskrzono gwiazdamy niebo, kojący szum morza i ciepły zefirek, stwo-

mienia kandydata — fakt jego wejścia do grona turystów-kołarzy. Po uroczystości pasowania, pieśniom o morzu, o wędrowkach z plecakiem nie ma końca. Nasza solistka z rajdowego zespołu pieśni i tańca — Jolanta — śpiewa piosenkę „O laboga, z takim losem”, która staje się przebojem. Dopiero po północy udaliśmy się na spoczynek.

Wspominając naszą wędrowkę trudno doszukać się dnia, w którym nie zwiedziliśmy jakiegoś ciekawego miejsca, w którym nie wydarzyłoby się coś ciekawego. Ot, chociażby Słupsk. Zjechalśmy do tego miasta pod wieczór, do mety etapu godzina jazdy. Po zakupach na rowery, by jeszcze przed zmierzchem być pod dachem. W Mianowicach blady strach padł na cztery mieszkanki naszej świetlicy — czteroosobowego olbrzymiego namiotu. Okazało się, że nie ma Krzysztofa, który z poświęceniem tasczył go na swoim kobuzie od początku rajdu. Nasze panie za martwiły się nie tyle o miejsce do spania co o Krzysia, który gdzieś został na szlaku — pewnie w Słupsku — ale dlaczego tak długo nie wraca? Trwogę dodawały wyjące karetki pogotowia pedące po szosie niedaleko obozowiska. Strwożeni rajdowcy oczekiwali...

Tymczasem Krzysztof — zapalony krajoznawca — postanowił zwiedzić Słupsk. Do niego przyłączył się Prezes i we dwójkę ruszyli na wycieczkę po mieście. Zwiedziwszy gótycką kościół z XVI-wieczną Pasją, zamek z XIV w., ujrawszy Wieżę Czarownic trafił na koniec do Karczmy „Pod Kluką”. Tu upojeni boskami aromami lubczyków, mięt i pączków sosny

(Ciąg dalszy na str. 19)

VI Festiwal Kultury Studentów PRL



Str. 12

u góry: TEATR KALAMBUR
spektakl pt. „Biała skrzynia”,
w środku — koncert kameralny
w kawiarni Sukiennicza, na
dole — Kabaret Gralak Marian

Str. 13

u góry: koncert Zespołu Pieśni
i Tańca Polit. Warszawskiej, na
dole FOLK BLUES MEETING
Grupa IRJAM.

zdj. RYSZARD D'ANTONI



VI Festiwal Kultury Studentów PRL

Jerzy Krzysica

KRUCYFIKS

gdy zgasły świece w lichtarzach
wystawiłem na licytację
krucyfiks
wyplatany złotem
i inkrustowany perłami
wybacz...

mówisz, że podłość
tak, wiem
że brak wiary
to nie to samo
co niewierność
i to wiem

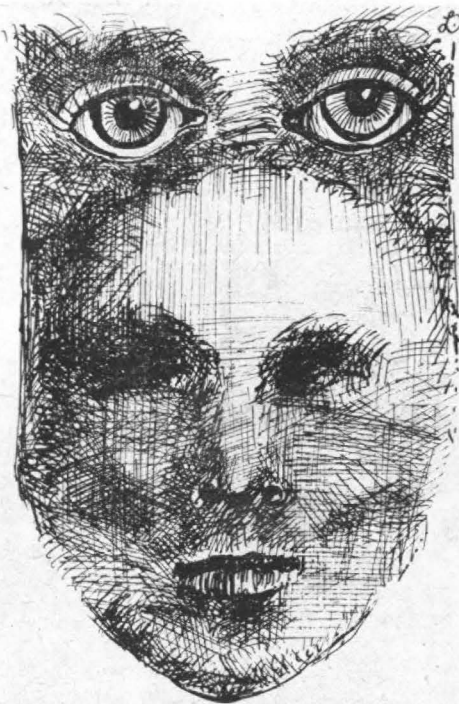
pytasz
czy wiem też i o tym,
że perły z wosku...?
wiem
wybacz...



FOT. M. KNIĄZIUK



kroplą
zmęczonej chłodem rosy
będziemy leczyli rany...
spadł pierwszy promień
ze strun hesperyjskiej liry
słowo
płatek kwiatu
ptak, który zasnął w locie
na wargach szron wzruszeń
o kwiatach nie mówiliśmy zbyt wiele
żeby nie spłoszyć róż w ogrodzie
O słowach nie wiedzieliśmy prawie nic
teraz tylko niebo
i wysuszone chryzantemy
weźmiesz
w zapłakane dłonie

W
I
E
R
S
Z
E

RYS. L. KANIA

LISTOPAD

To święty Marcin na blaszanym koniu
jechał o zmierzchu.
Zbierał pokłony
i kępy uśmiechów.
Podkowy jarmarcznego konia
płonęły nutą

A ty pytałaś
— dla kogo ta muzyka?

Rozwiązał Marcin worek smutków:
smutku samotności
przebudzonej o brzasku,
nocnych rozmyślań,
miłości
i smutku niedokończonych wierszy.

A ty pytałaś
— dlaczego chłodem powiało tak nagle?

Siwy koniu,
panie lodowej grzywy
i kroków
listopadowych duchów
— chcę biec przed tobą.

A ty pytałaś
— dlaczego...?

Jan Sawicki: Student I roku WSiNz w Zielonej Górze. Debiut na łamach „Na Przełaj” w 1974 roku wierszem (inc.)...zapisani na rok następny (...) Członek tamtejszego KMA, pseud. JASA nr 881 (opublikował 55 wierszy). Drukował też w „Zielonym Sztandarze” (7 grudzień 75) wiersz „Wiersz z autobusu”.

Jan Sawicki

TASOWANIE

kim jest człowiek z moim sercem
niebieski multicolor wywożący gruz
z mojego wojennego wnętrza
kim jest człowiek
który nie wierzy geometrom
tylko starym kobietom
stawiającym niezgrabnie doniczki
na grobie jak nogi
może to K. — człowiek logiczny do końca
myślę o czym myśleć
wiem przecież
najważniejsza jest licytacja
rozgrywka jest wybaczeniem
wrzesień 78



rys. L. KANIA



ZAKWITŁY ROZMARYNY. U STÓP OLIVEK
WIENIE FIOŁKÓW.

CAMUS

wolę smutek
na wirażu uczucia
lekki jak muszka
i ciężki jak muchołapka

wolę smutek
jest bliżej Chrystusa
i modlitwy
impulsu nadziei

wolę smutek
jest obok chleba
za wcześniej podzielonego

wolę smutek
na szronie kobiety
schizofrenii źródeł
zatrutych largatyłem

stosuję ten autotrening
od pierwszego płaczu
wyjętego w siódmym miesiącu
sierpień 78

EUGENIUSZ KURZAWA

Oii — ZA DWADZIEŚCIA LAT

Ola moja miłość
zapytała czy ty też
umrzesz
i nie było sposobu
aby jej wytłumaczyć że będę żył
wietrznie
wrócę ze zmianą pogody
zakwitnę szybko
w donicze nocą będę
sam zasypiał czytając bajki
nawet w językach których
nie rozumiem
rozhulałam się w pijanych drzewach
z plasteliny stojących aleście
w zbąszyńskim parku włoskim
na końcu obejrzymy
razem dobranockę i ja
pójdę pogodnie
zasnąć
do zupełnie innej bajki



„CIUCIUBABKA”

acryl 25 × 29

Leszek Kania

fot. Mirosław Kniaziuk

Dobry teatr studencki zawsze brał się z buntu przeciwko wszystkiemu, co w oczach teatralnych twórców było „Chore”, wadliwe, sztuczne i pretensjonalne. Nie przygniata go ani biurokracja, komercjalizm niektórych scen zawodowych. Teatr studencki, nie posiadający środków na finansowanie bogatej oprawy scenograficznej, wyeksponował człowieka mówiącego o sobie, własnych problemach i lękach, a nie wcielającego się w określoną postać — rolę, aktora. Niezbędne rekwizyty teatr studencki gromadzi we własnym zakresie — często przy pomocy przyjaciół teatru. Uwolnienie od zaplecza zapewniło mu znaczną ruchliwość i plastyczność.

Opozycja wobec teatru zawodowego wyniknęła ze specyficznej struktury, jaką wytworzył teatr studencki. Prze-

Andrzej Weber

Awers i rewers teatru studenckiego

de wszystkim teatr ten od początku swego istnienia skazany był na samowystarczalność i to nie tylko administracyjno-techniczną, ale i repertuarową. Sprzeciwił się strukturze sceny profesjonalnej, utożsamianej z gażą, budżetem teatralnym, etatami, koniecznością wyrobienia planu i sztywnością kanonów inscenizacyjnych.

Kontestacja, mająca swoje historyczne uzasadnienie, znalazła szeroki rezonans w poczynaniach najmłodszych twórców. Istotą dojrzałego ruchu kontestacyjnego jest takie działanie, aby budować teatr, grupę, styl, a nie tylko pojedyncze spektakle. W momencie wygaszenia zapotrzebowania na określone spektakle, kontestacja zaczęła funkcjonować jako moda w praktykach młodych teatrów studenckich. Moda objawiła się w fali nagości na scenie, operowaniu określonymi konwencjami realizacyjnymi i innymi atrybutami teatralnymi. Powielanie pewnych rozwiązań przyczyniło się do ich totalnej dewaluacji. Później, gdy pewien „chwyt” czy rekwizyt pojawił się nawet w najlepszym kontekście znaczeniowym, zostawał automatycznie negowany jako niesmaczny utrwalacz popularnych wzorów. Teatrowi studenckiemu przypisywano zaw-

szę „społeczne posłannictwo” czulego barometru, wskazującego nadchodzenie wyżów i niżów politycznych, rozprawy się z niedomaganiem życia społecznego. Nie zawsze owa „polityczność” tego teatru szła w parze z atrakcyjną formą przekazu.

Pamiętający kryzys w tym ruchu przełamują tylko nieliczne teatry, usiłujące penetrować inne obszary wrażliwości estetycznych i wartości etycznych. Przykładem tego jest dla mnie Scena Plastyczna z KUL-u prowadzona przez Leszka Mądziaka. Teatr ten po wielu sukcesach za granicą dopiero od niedawna zdobył należny mu aplauz w kraju.

Praca w teatrze studenckim zapewnia jego uczestnikom możliwość bezpośrednich, otwartych kontaktów interpersonalnych. Prawdziwy teatr otwarty to nie tylko teatr mówiący wprost, bez scenicznej rampy i wyszukanych kostiumów, ale również taki teatr, w którym mogą zaistnieć otwarte kontakty wewnątrz grupy.

Wiele teatrów studenckich kładzie zasadniczy nacisk na artystyczną stronę swojej działalności, na szybkie znalezienie się w ścisłej czołówce, formowanej przez każdy z festiwalu. Poświęca dużo pracy na warsztat aktorski swoich członków zapominając częstokroć, że każda działalność tych teatrów w zakresie prób jest jednocześnie podstawową formą organizacji wolnego czasu i zaspokajania najróżniejszych potrzeb młodych ludzi. Te z teatrów studenckich, które pozują na profesjonalny styl pracy, gdzie reżyser — kierownik jest jedynym motorem działalności uniemożliwiającym innym członkom samorealizację w procesie twórczym, osiągając czasami wysokie notowania na rynku studenckim, ale różnie wtedy bywa z wewnętrzną spójnością takiej grupy. Sfrustrowani niepowodzeniami studenci szybko wykruszają się z szeregów teatralnego ruchu, nie mogąc znaleźć w nim poparcia dla swoich marzeń i potrzeb. Gubią się w nużących i nerwowych próbach, zmierzających do szybkiego efektu — premiery, będącej dla wielu z nich najważniejszym etapem pracy. Niewłaściwa droga doprowadzająca wreszcie do upragnionego kontaktu z publicznością nie daje pełnego zadowolenia z osiągniętego aplauzu.

Teatr studencki funkcjonuje w ocenach krytyków i poczynionej opinii tylko przez swoje przedstawienia. Milczą one o grupach, które może nie znaczącego nie wniosły do historii ruchu artystycznego, ale swoją metodą działań wypracowały więzi przenoszone później poza obręb samego teatru. Może przyczyną niedostrzegania innych form aktywności teatrów jest hermetyczność i laboratoryjny

COUNTRY MUSIC (3)

NASHVILLE SOUND

NASHVILLE — STOLICA STANU TENNESSEE, NAZYWANE JEST MIASTEM MUZYKI USA. Tutaj dokonuje się 52 proc. wszystkich nagrań w Stanach Zjednoczonych, jedenastu producentów wizyjnych, siedmiu producentów radiowych i telewizyjnych jedenastu producentów filmowych, dziewięć agencji reklamowych dysponujących wielkimi funduszami i wpływami zajmuje się muzyką country.

W Nashville mieści się 400 wydawnictw oraz 50 studiów nagrań. Kilkanaście z nich zaliczanych jest do największych i najsprawniejszych w świecie. Dobre warunki pracy i duża ilość znakomitych muzyków sesyjnych przyciąga do Nashville gwiazdy muzyki country. Niemal wszyscy liczący się pieśniarze stylu country nagrywają w tym mieście.

Nad sprawami związanymi z dokonywaniem nagrań, koncertami i innymi formami działalności rozrywkowej czuwa Stowarzyszenie Wykonawców i Zwolenników Muzyki Country.

Stowarzyszenie zostało założone w 1964 roku: ma na celu lansowanie country, a także dbałość o przestrzeganie zasad etycznych w przemyśle muzycznym. Zrzesza ono muzyków, producentów płyt, pracowników radia i telewizji, agentów handlowych. W 1965 roku z inicjatywy Stowarzyszenia powstała fundacja, która administruje tzw. Panteonem Muzyki Country. Jest to swego rodzaju muzeum. Znajdują się w nim figury woskowe największych gwiazd stylu country oraz rozmaite pamiątki z nimi związane np: rewolwer Texa Rittera czy buty Patsy Montana, które dla wielbicieli peł-

nią niemal rolę relikwii i stanowią obiekt kultu.

Dla upamiętnienia roli Nashville dla muzyki country nazywa się ją często Nashville Sound — brzmieniem Nashville. Dla wielbicieli Nashville Sound centralnym punktem miasta jest Grand Ole Opry House. Występ w Wielkiej Starej Operze jest dla każdego początkującego pieśniarza instrumentalisty wielkim zaszczytem i zazwyczaj otwiera drogę do kariery i drzwi do studiów nagrań.

W Nashville roi się od młodych ludzi, którzy próbują swych sił na deskach estrady. Występują w lokalach licząc na to, że zostaną zauważeni przez jakiegoś menadżera. Ludzie ci wywodzą się z niższych warstw społeczeństwa, np. Johnny Cash był sprzedawcą robotów kuchennych w Memphis, Rodgers kojarzonym z lejarzem, Hank Snow obieży światem. Nie brak wśród

trącić truizmem, ale potrzeba wspólnoty, obcowania z drugim człowiekiem poza płaszczyzną bezosobowych kontaktów jest właśnie w teatrze amatorskim najpełniej do zrealizowania. A przecież wbrew temu, co o teatrze studenckim powiedziano, pozostaje on nadal teatrem amatorskim w najlepszym tego słowa znaczeniu z wyjątkiem grup, które ządzęły przekwalifikować się na zawodowstwo.

Praca w teatrze studenckim organizowana w kierunku zaspokajania potrzeb jego uczestników przyczynia się do podniesienia osobistej kultury artystycznej, przez którą dokonuje się zasadnicze wzbogacenie osobowości człowieka, jego sposobu życia, myślenia i postępowania. Pochwylenie bakcyła teatru jest pierwszym sposobem zdobycia wiedzy z tej dziedziny i uaktywnienia uczestnictwa w odbiorze, współtworzeniu i tworzeniu innych regionów kultury, elementarnie wyprowadzonych z teatru, wspólnego przeżywania dzieł sztuki, integrowaniu się w czasie aktu tworzenia.

Nie do pominięcia wydaje się terapeutyczna funkcja teatru, umożliwiająca wyciszenie lęków cywilizacyjnych przez w pełni ludzkie współdziałanie i zrozumienie wzajemnych potrzeb, likwidująca poczucie alienacji i konieczności ucieczki w samotność, ułatwiająca zrozumienie siebie i świata, przywracająca naruszoną równowagę życia uczuciowego.

Podczas organizowania teatru studenckiego w środowisku wielu młodych ludzi rozpoczyna samotną penetrację w celu zwerbowania ochotników do wspólnej pracy. „Wspólnej”, najczęściej rozumianej jako pracy o bok siebie, a nie r a z e m. Żeby doprowadzić teatr do kreacji zbiorowej, nie wystarczy umówienie się i pogodzenie ze wspólną koncepcją, ale takie budowanie spektaklu, w którym rezygnuje się kompromisowo z forsowania tylko własnych

mi swoich podopiecznych, ani władze uczelni chcą łożyć środki na prowadzenie grup teatralnych. Jedyne spryt zapaleńców teatru pozwala na zakup nieraz kosztownego sprzętu, rekwizytów itp. Gorzej, jeżeli twórcy niedociągnięcia artystyczne swojego teatru kładą na karb tylko braku pomocy ze strony mecenasów lub na niemożność pozyskania ludzi reprezentujących pożądaną poziom aktorski. Nie można zapomnieć, że teatr studencki jak każdy amatorski jest jednocześnie szkoła teatralna dla swoich uczestników. Praktycznie przychodzący do teatru ludzie otrzymują tam szkołę dobrej dykcji i innych niezbędnych lekcji teatru. Nauczycielem jest kierownik grupy albo starszy stażem kolega. Nieliczni kierownicy teatrów studenckich mają możliwość zdobywania kwalifikacji w ramach zorganizowanych szkoleń i kursów. W końcu i te, które są organizowane, nie odpowiadają potrzebom zainteresowanych. Weryfikacja wiedzy odbywa się więc sposobem „chałupniczym”, samotnie. Ci, którzy umiłowali teatr z przekonania i wyboru, potrafią znaleźć samodzielnie klucz do wiedzy teoretycznej i tej praktycznej, podglądanej w warsztacie innych twórców.

Spójrzmy z perspektywy blisko 24 lat tej działalności na dwie strony medalu teatru studenckiego, zjawiska znaczącego dla całej kultury narodowej. Oceniamy tych, którzy ten teatr budują z własnej pasji, bez pochwalnego pienia licznych kronikarzy. Patrzymy na to jedyne w swoim rodzaju zjawisko głębiej niż zawodowi twórcy, niechętnie współpracujący z teatrem studenckim. Nie zapominajmy, że taki teatr, w którym możliwe jest twórcze uczestnictwo i realizacja potrzeby ekspresji jego członków, jest jednocześnie miejscem ciągłego oddziaływania na osobowość i wrażliwość estetyczną uczestników teatru, ich sensem i sposobem życia.

nich byłych graczy w baseball, disc jockeyów, kelnerów czy nawet „policjantów. Wszyscy ożywni są nadzieją, że mimo wszystko zostaną gwiazdami. Zostaje niewiele. Zdarzają się przypadki oszałamiających karier.

Jedną z gwiazd stylu Nashville Sound jest Tanya Tucker. Nie ukończyła jeszcze 20 lat. Zaczęła występować mając 14 lat. Tanya Tucker wylosowała piosenkę Alexa Harvey'a „Jutrzenka Delty”, która stała się wielkim przebojem. W chwili obecnej Tanya Tucker nagrywa dla firmy RCA, z którą związana jest milionowym kontraktem. Znani pieśniarze stylu country otaczani są przez wielbicieli wielką estymą i czasem odgrywają nawet pewną rolę polityczną jak Roy Acuff, który w 1948 roku wygrał przedwybory na gubernatora stanu. Zrezygnował jednak

z dalszej kampanii mówiąc: „Jako gubernator będę jeszcze jednym politykiem, jako pieśniarz pozostanę zawsze Roy'em Acuff. Dzisiaj jest jednym z najlepszych wykonawców country.

Muzyka ta powiązana jest wieloma niemi ze środowiskiem w którym wyrosła. Pieśniarze country to ludzie prości, znający życie. W swych piosenkach stają się wyrazicielami uczuć swych wielbicieli, ponieważ im też było źle, czuli się samotni, czy też mieli poważne problemy życiowe. Ludzie mają do nich zaufanie i widząc ich na deskach estrady czują, że to sami swoi. Obie strony są sobie wzajemnie potrzebne.

Po okresie lekceważenia muzyka country przestała być brzydkim kaczętkiem amerykańskiej kultury. Kryzys muzyki rock, w jej orto

doksyjnej formie związanej z ideologią kontestującą młodzieży, spowodował wzrost za interesowania stylem country. Nieprzypadkowo bluegrass, jedną z odmian country na początku lat 70-tych zdobyła sobie dużą popularność w środowisku studenckim w Stanach Zjednoczonych, które tradycyjnie skłaniało się ku podstawom kontestatorskim. Ideologia amerykańskiej młodzieży była w zasa dzie prosta. Jej osiłą był protest przeciw zastanym stosunkom społecznym i politycznym. Nie wskazywała ona jednak wyraźnej drogi uzdrowienia sytuacji i w dużej mierze była nieszczera. Młodzi gniewni jeżdżący wtedy na hondach kupionych za pieniądze swych bogatych rodziców, jeżdżą dzisiaj luksusowymi car dillacami kupionymi za własne pieniądze. Próby naprawy świata skończyły się niepowodzeniem. Kris Kristofferson

tłumaczy wzrost zainteresowania stylem country w środowiskach intelektualistów powrotem do prostoty wsi i do jej rzetelności. Nashville Sound jest jeszcze na tyle świeże i autentyczne, że utożsamiane jest z muzyką ludową.

Wśród muzyków country toczy się spór między purystami, a zwolennikami przemian na temat przyszłości tej muzyki. Przywiązani do tradycji chcą utrzymać jej charakter hillbilly, podczas gdy młodzi wykonawcy wykorzystują w swej twórczości instrumenty elektroniczne powodując zmianę tradycyjnego brzmienia. Najważniejsze jest jednak, aby nie utracić nic ze swego autentyzmu i niepowtarzalnego charakteru, jakim dziś odznacza się Nashville Sound.

ADAM RUSZCZYŃSKI

„Debiuty poetyckie 76”

JERZY LESZIN I ANDRZEJ K. WAŚKIEWICZ wy-
puścili w świat literacki kolejne dzieło — antologię.
Wydana na dobrym papierze z ciekawym rozwiązaniem
graficznym książka, mimo drobnego lapsusu technicz-
nego (vide: skrzydełka obwoluty) jest pozycją wartoś-
ciową, zwłaszcza dla kogoś interesującego się tenden-
cjami literackimi i nastrojami wśród debiutantów. „Pu-
blikacja (...) nie ma ambicji zastępowania antologii pro-
gramowych, retrospektywnych, chce na bieżąco re-
jestrować to, co dzieje się w ruchu młodoliterackim.
Chce być przyczynkiem do dyskusji o stanie młodej
poezji” — piszą autorzy. Sposób redagowania antologii,
wiersze poprzedzone systematyzującym wstępem A. K.
Waśkiewicza oraz wypowiedzi i dane biograficzne uc-
zestniczących w antologii poetów, pozwalają na zaob-
serwowanie różnych zjawisk, pojawiających się w mło-
dej poezji w okresie, który „Debiuty poetyckie” obej-
mują. Zwłaszcza wypowiedzi autorów są cennym ma-
teriałem dowodowym dla udokumentowania wniosków
o istnieniu bądź zaprzeczeniu istnienia nowego poko-
lenia, a więc problemu rozpatrywanego na wielu semi-
nariach i spotkaniach literackich od dłuższego już cza-
su. Głosy młodych ciekawe są także chociażby dlatego,
że często pozwalają zrozumieć niezbyt klarowną poe-
zję uprawianą z wielkim natchnieniem przez rzeszę
klientów Muzy.

Zakres sematyczny terminu młody poeta, młoda
poezja jest w ogóle i konkretnie w przypadku poezji
wydawanej przez Zarząd Główny SZSP bardzo szeroki.

Waśkiewicz we wstępie grupuje uczestniczących w
antologii poetów wg kryterium wiekowego i przyna-
leżnościowego (do grupy stowarzyszeń twórczych i po-
pokoleń). Do grupy debiutantów spóźnionych autor
wstępu zalicza siedmiu autorów: Jerzego St. Czajkow-
skiego, Kazimierza Chmielowica, Wiesława Stępnio-
skiego, Tadeusza Gierymskiego, Aleksandra Rozenffel-
da, Barbarę Kostecką, Annę Skoczylas. Poeci z kręgu
Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy reprezen-
towani są przez pięciu autorów plus jeden, jeżeli za-
stosujemy się do kryterium Waśkiewicza. Dokładniej-
sze omawianie tych poezji nie ma większego sensu.
„Są to typowe produkty” poetyckich hobbystów.

Najistotniejsze dla naszych rozważań są książki wy-
dane przez autentycznych młodych. Interesująco pre-
zentuje się tutaj Wojciech Czarniewski. Jego pozycja
„Jest już chyba kobieta”, została przez wielu kryty-
ków uznana za najciekawszy debiut roku. Należy tak-
że zauważyć debiut Marka Baterowicza, Andrzeja Wię-
kowskiego. W kręgu poetów, których można zaliczyć
do pokolenia wstępującego, a genetycznie jeszcze zwią-
zanych z nową falą, widzimy Zygmunta Korusa, Zbig-
niewa Włodzimierza Fronczka i Andrzeja Titkova. Do
ciekawszych, wyznaczających swoją poetyką linię po-
koleniowych (?) konwencji poetyckich lub linii natar-
cia pokoleniowego, należą poeci z Gdańska — Walde-
mar J. Ziemiński, Władysław Zawistowski, Stanisław
Esden-Tempski oraz Krzysztof Soliński, Marek Grała.
Oprócz debiutów ciekawych jak zawsze znalazło się w
debiutanckiej grupie dużo książek przeciętnych, będą-
cych tłem dla tych, które sygnalizowałem jako najcie-
kawsze.

Jest to nie tylko nieuniknione, ale jest to prawdó-
wość, ma kształt krzywej Gausa.

// Czego oczekujemy od debiutu? Spełnień czy raczej
zapowiedzi? Rzadko się zdarza, by wchodzący do lite-
ratury autor już w pierwszych utworach ujawnił swo-
je możliwości. Raczej są to pierwociny, które mogą się
spełnić lub nie. // Tak pisze w innym miejscu współre-
daktor antologii Waśkiewicz. Ma rację bez wątpienia.
Trudno inaczej niż informacyjnie potraktować sprawę
debiutantów z roku 76. Łatwo ferować wyroki, mogą-
ce krzywdzić czy niesprawiedliwie oceniać młodych.
Tymczasem można ich działalność poetycką potraktować
jako interesującą formę aktywności. Z czasem naj-
ciekawszy zostaną, pójdą dalej, reszta zajmie się spra-
wami dla niej istotniejszymi. Z perspektywy czasu an-
tologia „Debiuty poetyckie 76” będzie ciekawym doku-
mentem literackim lat siedemdziesiątych.

EUGENIUSZ KURZAWA

Pokazując kierunek



Lech Stepiński, autor arkusza pt. „Znaki”, wierzy w sztukę. Akt wiary młodego autora wyraża nadzieję na rzeczywistą pełną humanistycznych i filozoficznych (w sensie uniwersalnym w obu przy padkach) realizacji Człowieka. Realizacje owe mają mieć oparcie w miocie, który wskazuje niszczące siły i ustala rodzaj broni ocalającej.

„Wszystkich ciemna fala rzuciła na tę wyspę”
„Jest tylko ocean i wyspa zawsze ocean i wyspa”
„nie ma tu miejsca nawet na topór albo choć tepy kamień”
„Zostaniesz sam z dłońmi wypełnionymi szkłem i krwią”
„Wszystcy wiemy, że jedyną szansą Jonasza była ucieczka”
— tak oto — szkicowo — przedstawia się antologia owych sił. Bronią waloryzującą nasze wysiłki, „przesuwania czasu jak

zbyt ciężkiego na każdym, owe znaki punkty filozoficzne. Znaki te nie są człowiekowi. Korzystając z filozoficznych kanonów — zabiegami — czy autokreacją — padku zbyt pochopnie popadamy w my pozory z praktykując kierunek

nieraz wydaje mi się, że znaki, które są przeznaczone dla mnie, zrozumiałem, budzę się do drugiego snu o obcym języku, gdzie smuga pamięci odbiera wzrok a nad przepaścią leara nagły zawrót głowy skręca mi kark

Wobec wszystkiego i pomimo wszystko, Stepiński postuluje kanon etyczny, który jego konstantami są wartości utrwalone w miocie poprzez znaki, o których śnią między innymi poeci.

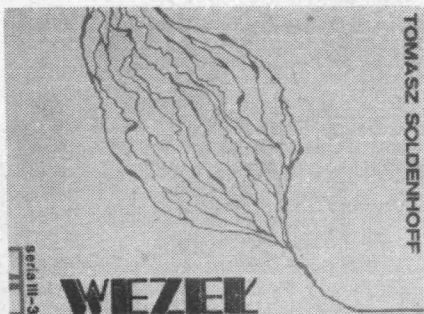
Głos autora „Znaków”, świeży i skomplikowany, rozbrzmiewa już donośnie i celowo. Trudna to poezja i wielowarstwowa — a przez to chyba wybitna.

Jako kolega Lecha, życzę mu owego to talnego Znaku.

CZESŁAW MARKIEWICZ

Lech Stepiński: Znaki. Warszawa 1977. Seria III — I. Programy — Arkusze Autorskie Studenckich Twórców. Redakcja „Nowy Medyk” i „ItD”. Patronuje ZG SZSP.

Od słowa do mnie daleko



Deklaratywność poezji Tomasza Soldenhoffa zawartej w arkuszu pt. „Węzeł”, prowokuje katastroficzne refleksje. Choć ogłoszony przez poetę koniec poezji nie jest końcem świata, to niechybnie znamionuje niebezpieczne przewartościowanie. Wolno Soldenhoffowi traktować poezję jako jedną z Pełni, wolno mu odejść od niej traktować jako jedną z igraszek Losu. Poezje wolno wszystko, szczególnie ze swoją muzą, czynić. Akurat Soldenhoff może deklarować śmierć poezji nie morderując nic poza nią, bowiem poezja u niego nie jest bytem obiektywnym. Po końcu poezji autor „Węzła” może odejść choćby w życie. Mistrz Soldenhoffa, Rafał Wojaczek, musiał i mógł odejść tylko w śmierć. W tym upatruję zdroworozsądkową filozofię Soldenhoffa, w której wyznaczona została granica pewnych utożsamień; granica zapewnijająca niemożność przeprowadzenia pełnej dezintegracji... Dezintegracji i eskapizmowi bohatera „Węzła” zapobiega również — paradoksalnie — traktowanie poezji jako bytu idealnego: „... wiersz był mi zawsze od początku, jedyną wierną dziedziną

życia (rozstrzelanie C.M.), rejonem rzeczywistej wolności, w którym mogłem otworzyć kochać, nienawidzić i buntować się...” — mówi autor we wstępie do tomiku.

Tak więc dla Rafała Wojaczka poezja była genetyczną częścią ustroju biologicznego; dla autora „Węzła” poezja jest funkcjonalną protezą do czynienia „otwartego kochania”, nienawidzenia i buntowania się, protezą gotową w każdej chwili uruchomić węzeł samozaciskowy i odpaść od ciała demiurga swego jak zużyta książeczka do nabożeństwa.

Nie podoba mi się takie przewartościowanie poezji, bo poeta się jest (niestety), a nie bywa — jak chce Tomasz Soldenhoff.

Poza tym Soldenhoff kłamie. Jego poezja, na przekór stwórcy, żyje precyzyjnie ku potrzebie nadrzędnej. Choćby po to, aby koncepcyjnie (forma) i egotycznie (etyka) zaświadczać analogie między poezją a życiem obiektywnym, przy wspomnianym już zdroworozsądkowym zawarowaniu granicy między tymi zjawiskami.

Świat filozoficzny i filologiczny (w leksyce) poezji Soldenhoffa jest oryginalną próbą rozrzygnięcia możliwości „samopalenia”, przy uwzględnieniu kataraktycznej roli krajobrazu społecznego.

Jako kolega Tomasza, życzę mu z całego serca owego wielkiego tematu społecznego, który rozluźni węzeł zaciśnięty ko kieteryjnie wokół mocnego kręgosłupa poetyckiego autora „Węzła”.

CZESŁAW MARKIEWICZ

Tomasz Soldenhoff: Węzeł. Warszawa 1977. Seria III — 3. Programy — Arkusze Autorskie Studenckich Twórców. Redakcja „Nowy Medyk” i „ItD”. Patronuje ZG SZSP.

kontentują podniecenia wszelkie, krzyśtof z Prezesem późnym wieczorem w błogim jeszcze nastroju zjawili się w obozie. Czekaliśmy na nich zimne spojrzenia koczujących w rosie koleżanek, jeszcze zimniejsze klopsy w menażce i rozbięcie dwóch namiotów. Jak na raz to za dużo wrażeń. Ale czar Karczmy udzielił się wszystkim.

Nazajutrz czekał nas najdłuższy etap długości 73 km. Pokonałszy go z niemałym wysiłkiem w czasie 8 godzin. Fetowaliśmy to osiągnięcie w Lebie — półmetku rajdu. Zadawaliśmy sobie pytanie, jak będzie się jechało „z górki”. Nim się spostrzegliśmy, za nami było już Rozewie, wjeżdżaliśmy na Póiwyspę Helski. I tu dopiero zaczęło padać na dobre. Między Baitykiem a Zatoką Pucką powstał okropny kocioł, wiatr co chwila zmieniał kierunek goniąc deszczowe chmury. Ledwo wyjechaliśmy. Wioząc mokre namioty do tarliśmy do Celbowa. Jan Kwaternistrz stanął na wysokości zadania, my uznaliśmy to za niemal cud: zorganizował nocleg w starym zamczysku, którego fundamenty — zgodnie z legendą — pamiętają czasy Albrechta Niedzwiedzia. Tej nocy śniły nam się rycerskie turnieje, białe damy, a namioty rostawione w jednej z sal przypominały obóz średniowiecznych wojów.

Ostatnie dni wyprawy spędziliśmy w Trójmieście. Bazę wypadową założyliśmy na gdyńskim campingu. Mieliśmy stąd do godne dojścia do Sopotu, Gdańska i centrum Gdyni. Moc atrakcji krajoznawczych poczynając od „Akwarium” przez gdańskie muzea na organowym koncercie w Oliwie kończąc. Niezatarłe wrażenie wywarł na nas spacer Drogą Królewską. Oświetlone słonecznym blaskiem mieszczarskie muzea, na organowym koncercie w Staromiejski były pełne osobliwego uroku. Chwila zadumy na Westerplatte...

Wyprawa kończyła się. Z łałem żegnałmy rajdowe szlaki; przez moment spojrzeliśmy wstecz na te 427 przejechanych kilometrów, na spienione morze, na błękitne niebo wiszące nad lebskimi wydhami; cichły echa piosenek. Ktoś szepnął: „A jednak pokonałszy trudy, żyliśmy się, choć nieraz były krzyżysy. Ale kto o nich by pamiętał?” Teraz mówiliśmy o tych słonecznych dniach. O dniach pełnych przygód i kilometrów. Niewielu mogło powiedzieć, że cieszy się z powrotu do domu. Powoli zaczęliśmy snuć plany na jesień, na wiosnę, na przyszłoroczne wakacje. Bogatsi o tegoroczne doświadczenia uruchomimy rowerową maszynę, by znów przemierzać turystyczne szlaki i śpiewać: „Nie masz jak rajdowa wiara, nie masz jak rajdowy śpiew”.

ZBIGNIEW SKOCZYŁAS

MOI BOHATEROWIE

Kiedy siadam za biurkiem to wiem już, że wybiła moja godzina. Nadchodzi czas wędrówki w przeszłość. Wzywa mnie Historia. Wychodzę jej na przeciw. I tak toczy się codziennie koło mojego przeznaczenia. Jestem jak ludożerca z bajki, który gdy wzwyż ludzkie mięso, wie, że wpadł na trop swojej zwierzyny.

Moi bohaterowie wibrują w kosmosie przeszłości niczym meteory. Jak magnes wciągają mnie w sieć swoich przygód. W ciszy nocy przychodzą do mnie. Często do świtu snują przede mną legendy swych przeżyć. Mozolnie tworzę swoją kolekcję portretów. Lecz trud się opłaca. Cóż znaczy bowiem tkanka bez włókien!

Pragnę by mówili jak najwięcej. Jalmużnikom więc rzucam srebrnika na tacę, galernikom obcinam łańcuchy, skazańców porygam spod szafotu. Oto czym placę by

mówili o tajemnicach swych przeżyć. Wodzą mnie za sobą spo lochach, ciągną na dalekie morza, wprowadzają do jwytwornych komnat, każą wreszcie siadać na konia i gnać wo bezkresach nocy. Tracę poczucie czasu. Wędruję w zakrytych wymiarach Historii. Tu i ówdzie błyska szyćlet, kłychać brzęk skrzyżowanych rapierów i tętę koni, pachnie prochem armatnim, wionie wilgotnością kazamatów. Tak lżyję w stanie trwogi i odwagi. Aż nieraz tchu mi braknie. Skoro ofiarowano mi swoje usługi, to trudno z nich nie skorzystać.

Dobrze mi w królestwie moich bohaterów. A i przestrzeń ich działania trawię inaczej. Nie od zewnątrz jak intruz, lecz od wewnątrz — wtopiony w kosmos ich decyzji, wyborów i działań, choć: „Mój Boże! Mógłbym się zamknąć w lupinie orzecha i czuć się królem nieskończonych przestrzeni” (Hamlet). Tego nie pragnę! Wołę słuhać dialogów epoki z normalnym biciem serca.

Prawda, jaką noszę w moich bohaterach, kształtuje głębię mych sądów i zachowań, pragnień i wyborów. Swobodę wyboru określają podjęte decyzje. To one limitują moje i ich pole działań. Jeżeli pojmwali wolność jako „uświadomioną konieczność”, to chwala im na wieki. Każde bowiem przeznaczenie składa się w istocie z jednego tylko momentu — z momentu, w którym człowiek dowiada się raz na zawsze kim jest.

Uroki przeszłości — brak poczucia symetrii nieskazitelnej, uspienie czasu terażniejszości, odwrót od tępych reguł, które trzeba niejednokrotnie tolerować. Tegoż wieczoru, gdy piszę słowa niniejsze śledzę spojrzeniem moją dłoń, która, przecież w istocie przygotowuje moim bohaterom nowe trwanie poza śmierć lub nowy ich sen. W ciszy klaniamy się sobie do następnego spotkania.

Wiesław Hładkiewicz

17.XI.1978

zapis niepełny...

Pod rozważę?

Omawiając prasę studencką za lata 1972—76 A. K. Waśkiewicz nazwał ten okres erą biuletynów i jednodniówek. Kończąc swój artykuł badacz stwierdza „Studencki ruch czasopiśmienniczy jest (...) ruchem otwartym na nowe wartości, ruchem, którego struktura jest strukturą dynamiczną, zmieniającą się wraz ze zmianą potrzeb jego twórców i oczekiwań odbiorców.

Patrząc z tego punktu widzenia, opisaną sytuację należy traktować jako przejściową. Stan poprzedzający wytworzenie się nowej, adekwatnej do potrzeb struktury”.

Jednakże nadzieje wyrażone we wspomnianym szkicu, jak zaświadcza okres 1976—78, należałoby znów postawić jako naczelną tezę — punkt wyjścia naszego przeglądu. O ile bowiem okres 1972—76 dał chociażby „Problemy Studenckiego Ruchu Naukowego”, które ukazują się obecnie jako periodyk ogólnopolski, to okres 1976—78 nie stworzył — na zasadzie prawidłowej ewolucji — żadnego nowego tytułu. Trudno więc odtworzyć w sposób jednoznaczny „stan posiadania” studenckiej prasy nieprofesjonalnej, a to z tej przyczyny, iż możliwość zdobycia materiału badawczego jest praktycznie niewielka. Wydawnictwa te poruszają się w obiegu społecznym, zamkniętym, wewnętrznym, stąd ich czytelnikiem jest człowiek przypadkowy. Postulowana od wielu lat teza o tzw. „egzemplarzu obowiązkowym” nadal pozostaje tylko tezą. Na wet archiwum ORSRD jest w tym względzie skromne, by nie powiedzieć niepełne. Podejmowane decyzje koleżeńskie o wzaemnej wymianie środowiskowej funkcjonują nieprawidłowo. Stąd pełne ogarnięcie tego ruchu jest niemożliwe, jeżeli odrzuci się dyrektywę badawczą tzw. wędrującego badacza, który jeździ po krju i „wyprasza się” o te wydawnictwa. Ten bowiem na dłuższą metę zajeździł by się na śmierć.

Okres więc 1976—78, jeśli chodzi o studenckie jednodniówki, wzbogacił ich stan min. o dwa tytuły: „Jednodniówkę Studentów Szczecina — Gaudeamus” oraz „Jednodniówkę Studentów Rzeszowa — Dwukropek”. Ta pierwsza jest osobobnionym przykładem prawidłowej ewolucji i właściwej pracy

zespołu. Jest powtórzeniem klasycznego modelu ewolucji od biuletynu („Impuls” — zdobywca lauru „Czerwonej Róży” w 1976/77) do jednodniówki, który zrealizował zielonogórski „FAKTOR” w latach 1975/76. „Dwukropek” zaś „w ponad 20-letniej historii rzeszowskiego środowiska akademickiego nie jest pierwszym wydawnictwem studenckim. (...) 9 lat temu ukazało się czasopismo „Prometej” jako jednodniówka RO ZSP”.

W latach 1976—78 z inspiracji sztabu akcji „Chełm-78” utworzono jednodniówkę pod tym samym tytułem. Rok VI Festiwalu Kultury Studentów PRL powołał do życia „Kurier Festiwalowy”, którego 12 numerów przyjmując formułę monotematyczną prezentowało kolejne elementy studenckiej kultury.

Powstaje też w ostatnim okresie Jednodniówka Centralnej Szkoły Aktywu SZSP, będąca „...wynikiem działalności dziennikarzy z większości środowisk akademickich Polski”, którzy w dniach 1—10 lipca przebywali w Uniejowie na corocznym obozie dziennikarskim. // Aczkolwiek nie traktowalbym tego wydawnictwa jako wydarzenie, a już na pewno „bez precedensu”, gdyż zaliczyć je można do najbliższych wydań kategorii jednodniówek powtarzalnych w ostatnim okresie. Gdyby więc nawet zarucono mi pewne pominięcia, to i tak nie da się zdyskredytować tezy, że „nic nowego” ostatnio nie powstało.

Na dobrym poziomie ukazują się jednodniówki, które już w poprzednim okresie zdobyły sobie zasłużoną renomę. Mysłę tu o krakowskim „Magazynie Studenckim”, wrocławskich „Konfrontacjach” i zielonogórskim „FAKTORZE”. Poznańskie „Spojrzenia” nie zawsze utrzymują jednolity poziom lecz wydawane są z przyzwolita częstotliwością. Zarysowany powyżej stan nie napawa optymizmem, gdy jeszcze weźmiemy pod uwagę, iż najlepsze z tych pism — „Konfrontacje” (gdy przyjmimy perspektywę badawczą produktu finalnego, a nie faktu socjologicznego) ukazują się przeciętnie co pół roku (grudzień 1976, czerwiec 1977, styczeń 1978, lipiec 1978). Jeśli więc nawet zgodzimy się z wysoką oceną merytoryczną „Konfrontacji”, to wartości wynikające z wprowadzenia pisma w społeczny obieg czytelniczy okażą się minimalne.

ANDRZEJ BUCK

Piórem pod oko

(WSTĘP)

Impotent, bez wnikania w nomenklaturę medyczną, to w naszej świadomości ktoś, kto nie może. Niemoc w sprawach łóżkowych jest indywidualnym problemem dotkniętego tą dolegliwością i nikt postronny nic do tego nie ma. Niemoc taka nie stanowi żadnego społecznego zagrożenia (chyba, że jest powodem rozpadu stałego małżeńskiego). Istnieją inne, o wiele bardziej groźne rodzaje niemocy, których skutki odczuwa każdy (chyba, że jest nosicielem choroby, albo się na nią uodpornił). Najbardziej rozpo wszechnionymi są: niemoc intelektualna zwana pospolicie bezmyślnością, niemoc działania czyli zwykłe lenistwo i niemoc w podejmowaniu decyzji określaną często jako asykurantstwo lub konformizm.

Sądzę, że nikt nie ma kłopotów z

odróżnieniem osób dotkniętych tą chorobą — ocieramy się o nich na każdym kroku na ulicy, w biurze, uczelni, zakładzie pracy. Dla tych którzy mają tego typu kłopoty (swoją drogą ciekawe co im z kolei dolega?), podaję zespół cech umożliwiających identyfikację chorego osobnika. Po pierwsze — uważa on, że najpiękniejszą jest życie, to życie bezproblemowe, bez wpręgania się w sytuacje konfliktowe; po drugie — krytykuje, najczęściej bez jakiegokolwiek wycucia i zrozumienia problemu, krytykuje dosadnie, bez przebierania w środkach, i po trzecie — egzystuje sobie cichutko i spokojnie na uboczu, a jedynym jego zajęciem, poza krytykowaniem, jest bezmyślne potakiwanie z przeświadczeniem, że problemy same się rozwiążą. Być może ktoś się zdziwi, jak można jednocześnie krytykować i potakiwać, ale wystarczy zdać sobie sprawę, że w tym przypadku mamy do czynienia ze zwyk-

łym krytykanctwem i dysonans (po zorny) przestaje istnieć.

Nigdy bym się nie zajmował tym problemem, gdyby ci chorzy cicho i spokojnie hodowali kwiatki lub mar chawkę w swoich przydomowych ogródkach. Jednak w wielu wypadkach, ta spokojna i cicha egzystencja odbywa się na ważnych i eksponowanych stanowiskach. Nie zawracałbym sobie również głowy, gdy by inni byli na tę chorobę odporni. Ale, niestety, jest to choroba zakaźna, którą bardzo szybko rozszerza się, i na którą do dzisiaj nie wynaleziono szczepionki. Usiłuje się tylko leczyć, z mizernym zresztą skutkiem. No bo co da leczenie bez jednoczesnego stosowania działań profilaktycznych.

O skutkach choroby nie będę pisał — szkoda czasu i papieru. Niech każdy tylko się rozejrzy wokół i zobaczy, że to wszystko co go najbardziej denerwuje, złości i oburza to właśnie skutki niemocy. (cdn.)

FILISTER

Czekając na Godota czyli o spektaklu teatru 21

Chyba największym sukcesem re-aktywowanego „Teatru 21” był sam fakt wystąpienia. Z tego powodu zapewne pierwszy i ostatni jak dotąd — spektakl tej grupy przyjęty został z ulgą. Tak przynajmniej twierdzi Do rota Nowak w meandrycznej skądinąd recenzji „Samej Słodyczy” zamieszczonej w ostatnim numerze „Kurier Festiwalowego”.

Drugim sukcesem, działającego w moich obliczeniach Teatru, był wybór repertuarowy. Scenariusz Iredyńskiego okazał się znakomitym materiałem do teatralnej peregrynacji. Rzecz o której mowa docieka prawdy o człowieku, jego kondycji egzystencjalnej. Dla wyrazistej egzemplifikacji psychologicznej akcja tej rozprawki moralistycznej umieszczona została w zdeformowanej rzeczywistości sanatorium. W tym półświatku odbywa się ekspozycja postaw i charakterów. Najważniejsze w całym przedsięwzięciu teatralnym jest oczywiście przesłuchanie moralne i artystyczne dramatu. Z tym uporał się po mistrzowski autor manipulacji. Bardziej interesującym zagadnieniem będzie sposób i skutek transformacji tekstu do konanej przez młodych inscenizatorów i w tym względzie odnotować należy kilka kolejnych sukcesów.

Np. prolog, który odczytałem jako przesłuchanie intelektualne problemu globalnego z jakim później zetknął się widz — ów prolog uspokaja psychicznie widownię, stawia pytania



Spektakl TEATRU 21 —
„SAMA SŁODYCZY”
Fot. M. KNAZIUK

przez swoją enigmatyczność i anonimowość. Przemieszczające się postacie wykonujące dziwaczne gesty wyeksponowane w swojej patologii do granic groteski — stają się wielką zagadką psychologiczną, której rozwiązaniu przyglądamy się podczas spektaklu właściwego.

Prolog — nazwany tu ładnie przesłuchaniem — jest wg mnie właściwym „kawałkiem” studenckim tzn., że w takiej grze niedoskonałości amatorskiego warsztatu retuszowane zostają oryginalnymi wtrętami np. muzyczno-sportowymi; w omawianym

przypadku będzie to popis koncentracji jogi, imitowany przez perkusję, rytm życia — bicie serca.

W całości przemawia to bardziej do widza niż np. owoc intelektualnego wysiłku autora wcześniejszego spektaklu na studenckiej zielonogórskiej scenie. Mam na myśli Ante portas „Kontakt”.

Spektakl właściwy rozegrany został przynajmniej bardzo poprawnie ze wskazaniem kilku całkiem udanych kreacji — nawet! Podobała mi się pijaczka, podobała mi się subtelna ekspresja tytułowej bohaterki, drażniła mnie natomiast, aktorska zgrzywa i zadufanie mistrza Ceremonii.

Osobno należy poklepać po ramieniu centralnego animatora spektaklu — dyrektora Rządckiego, znanego skądinąd działacza, twórcę i studenta.

Całość dopełniła funkcjonalna idea scenografia i dygresyjnie pozorowane intermezza muzyczne. Teksty piosenek bowiem w głębszej korelacji rozwijały idee utworu. Trudno mi ocenić jakość artystyczną muzyki w ogóle, nie jest to zresztą najpotrzebniejsze. Sukcesem w tej materii był na pewno brak zgrzytów ideowych i rzeczowych — muzyka spektaklu nie rozbijała mistrzynie wikłanej linii ideowej.

Ostatnim sukcesem spektaklu był żywiołowy jego odbiór czego wyrazem była przeprowadzona na życzenie publiczności i na gorąco dyskusja. Więc: pogratulować autorom tego udanego i interesującego z wielu względów widowiska. Czekamy na jeszcze. Oby nie za długo.

CZESŁAW MARKIEWICZ

Sposób na scenariusz klubowy

Jarosławowi Janowskiemu z Krakowa

Potrzeba — bo tak to nazwać umownie wypada — spisania tego scenariusza imprezy klubowej zrodziła się z chęci popełnienia twórczego plagiatu „wielkich programowych odkryć” poprzednich Ogólnopolskich Giełd Programowych Klubów Studenckich. Podyktowały ją nie tylko względy osobisto-kompensacyjne (to zawsze jest źródłem natchnienia — patrz Freud!) lecz i praktyczne (nadzieja na nagrodę, czego przed jury ukryć się już nie da!).

Były i przyczyny pomniejszych. Intelkt Jarosława Janowskiego programowca-interdyscyplinarnego, wielka świadomość objawiająca się w indywidualnych cierpieniach Krzysztofa Magowskiego z Poznania i to aż dwukrotnie w scenariuszach o ogródkach działkowych i „Cegła na zaprawie”, czy też wreszcie stressy Wojciecha Pasternaka przed „kliniczną śmiercią” uświadomiły nam iż coś zrobić może „wielki mały człowiek” w swojej „drodze przez czas”. Obserwując — niejako etatowo — naturalny ruch pokoleń w łonie studenckiego amatorsztwa artystycznego, dostrzegamy, iż mamy do czynienia z dwoma typami ludzi. Pierwsi, którzy nas nie obchodzą to ci, zmieniający fotele na co raz to lepsze. Druga grupa to podobni do weteranów, znanych pod przeróżnymi pseudonimami, krążącymi w środowisku, jak Wujko-Potok, Stryjo-Guzowski, Docent Jan Wyplata, Druchna-Szwarc-Charakter? i inni, jak chociażby Sierżant-Steczkowski.

Impreza, którą proponujemy ma przybliżyć pokoleniom, które „wdepują” w amatorsztwo studenckie, kim oni są naprawdę? Śmiesznymi Kordianami, odpowiedzialnymi za prawidłowy przebieg procesu tworzenia się nowego pokolenia, czy też ludźmi pragnącymi aż do emerytury przeżyć przygodę?

Dlatego robimy z nimi spotkanie. Oczywiście organizatorzy zapewniają zwroty kosztów podróży, hotel, nagłośnienie sali w trakcie spotkania i frekwencję. O tym informują „małego wielkiego człowieka” w wysłanym pisemnie zaproszeniu (może być telefoniczne). Potem impreza się odbywa i jest ludycznie, co dowiódł ostatnio w „Portrecie” Krzysztofa Piaseckiego niejaki Pasternak Wojciech (sic!). Trzeba również zaznaczyć, iż cel ten ma w sobie również i kwestię socjalnych dla „pokolenia wstępującego”. Tak więc nowe idzie po okręgu, a i cała tradycja studenckiej kultury może znaleźć jako taką ciągłość.

Pierwszy etap jest niejako biograficzną wystawą, na którą gromadzimy pamiątki po małym, czy też „wielkim, małym człowieku”. Świadectwa ze szkół powszechnych, średnich, wyższych, chrztu, bierzmowania, ślubu, metrykę urodzenia, zdjęcia z różnych okresów życia, od dzieciństwa począwszy a na wieku przedemerytalnym kończąc. Opinie zakładów poprawczych, Kwity z izby wytrzeźwień, aby na ich podstawie zanalizować właściwości pisowni „grzebyk do włosów”, zdjęcia „mojej dziewczyny (chłopca)” nie wydrukowane na łamach „itd” (pornograficzne bowiem!). Mogą to być także zdjęcia od komunii, z miśsiem i guwernantką. Nieodzowny jest wykaz nagród i odznaczeń, jak Zucha, Cwika, Druha, kaprala itp. Postawę społeczną i zaangażowanie da się określić na podstawie odziedziczonych po ojcach „cegiełek” na budowę Domu Chłopa (to prawda — nie ma tam węzła sanitarnego w pokoju, a tylko zlew, znaczki na — nie na listy! — pomoc dla Gujany Brytyjskiej, bądź nawet ich cała seria zerwana z nalepek na flaszki, które zebrane „służą wielkiej sprawie szklanych domków jednorodzinnych”. Mogą być — i to jest zalecane norarium. Musi przecież być jakiś przymus i chęć do dokochanej.

Po przesłaniu eksponatów do Muzeum „wielkiego, małego człowieka”, organizatorzy imprezy otwierają „Wystawę pamiątek” na część i ku jego chwale. Która jest czynna co najmniej przez kilka dni przed oficjalnym spotkaniem z cyklu „Wszystko za honorarium”.

To oficjalne spotkanie jest niejako telewizyjnym Dniem Autorskim. Zaproszony prezentuje to wszystko co sam stworzył, ukazuje siebie tak na codzien. Może śpiewać, tańczyć, malować, recytować, pokazywać co stworzył, aby w ten sposób ukazać swoją „drogę przez czas”. Zebrani

pytają, on może dawać „retoryczne odpowiedzi”. Wszystko jednak musi być na wesolo! To jest bardzo ważne. Jak nudzi to organizatorzy potrącają mu po parę złotych z honorarium. Musi przecież być jakiś przymus i chęć do dobrej roboty.

W chwili, gdy wszyscy są już przekonani i utwierdzeni, że ten „wielki” twórca studenckiej kultury jest już całkiem nienormalny, wtedy trzeba umiejętnie akcję przenieść na Dworzec Centralny (scenariusz jest tylko możliwy do realizacji w Warszawie i w Klubie „Majster”), lecz niekoniecznie. W Poznaniu można wykorzystać dworzec w Łowiczu, bądź Wołę. Jest to interesujący sposób wyjścia kultury studenckiej na ulicę, i to zarówno w sensie jednostkowym (czytaj „Wielki, mały człowiek”) jak i grupowym (czytaj uczestnicy spotkania). Na dworcu można siedzieć do kilku dni, lecz codziennie wypada wykupić peronówkę. Jeżeli frekwencja jest mała, to imprezę zawieszamy i czekamy na pospieszny z Ostendy. Lecz koszty rosną w miarę upływu czasu. Bo peronówki ważne są tylko jeden dzień, o czym realizatorzy winni pamiętać. Wtedy korzystamy z eksperymentu. I wystawiamy „Dziady”.

DZIADY, cz. III. Bierze w nich udział kilku studentów-aktorów (zob. scenariusz „Maskarada” z 1976 r.). Przebierańcy kwestują, kiedy już mają pełne kieszenie wystawiają napis: Wyszędłem wpłacić na Centrum. Zaraz wracam”. Można pisać także o Zamku. W ten sposób łączymy działania kulturotwórcze z merkantylnymi w interesie własnym i innych.

Inna wersja, zdobywająca większe uznanie w naszym środowisku, to Tramwajady. Studenci społeczni kontrolerzy wsiadają wraz z „wielkim małym człowiekiem” i uczestnikami imprezy do tramwaju. Bohater prowadzi się o swojej drodze przez czas, panienki słuchają. Intelktualisci dyskutują. Pasażerowie zaś dziwią się i jadą... na studentów. Wtedy społeczni kontrolerzy proszą o bileciki. I w ten sposób — po uzgodnieniu porozumieniu z dyrekcją WPK — zdobywają gotówkę na cele ogólnospołeczne. Na którymś tam przystanku przechodzimy do skeczu „Kolberg”.

Rzecz dzieje się w okolicach Bożego Narodzenia. Trzej panowie w skórzanych płaszczach, kapeluszach, ciemnych okularach, słowem przebrani za koleśników wchodzą z Gwiazdą do tramwaju, śpiewają „Hej kolenda, kolenda”, a następnie robią to co bohater piosenki „Nagrywaj piękny Cyganie...”. Potem część uczestników wraca na dworzec, gdzie impreza trwa dalej...

Tutaj perony są zastąpione. I już niejaki Dorocho — szef kolejnej akcji nakazuje wciągnąć lokomotywę na tory; po tem wagony, a w jednym z nich znajduje się wystawa „Trzynastometrowej lewatywy dla wieloryba”. Zaproszeni do akcji pomagają, tak, tak pomagają. Lecz o niczym nie mogą wiedzieć. Lokomotywa — tylko na niby — przejeżdża jednego leżącego na ślepych torze. Zasłony nad peronami opadają. Fotoreporterzy. Błysk fleszy. Jutro wystawa. Każdy może kupić zdjęcie do albumu rodzinnego. „Wielki, mały człowiek” nazajutrz na podstawie tych zdjęć określa „psychikę narodu polskiego”, gdyż fotografowana populacja jest już jako taką grupą reprezentatywną. To następne spotkanie rzutuje również na pewne predyspozycje intelektualne zaproszonej osoby.

W ramach własnych prezentacji bohater spotkania może zorganizować własną koncepcję programową, jak na przykład program „Co kraj to obliczaj”, w którym uczestniczą czołowi cinkciarze, przedstawiciele działu wymiany walut NBP informujący o aktualnych kursach giełdowych funta, złotych, dolara i marki zachodniemieckiej. Dyskusja toczy się na tematy, kulturalnie. I w ten sposób ułatwiamy sobie założenie konta przed wyjazdem na święto Łucji do Skandynawii, Dzień Guy Fawkes”, a po przejeździe ciąg dalszy, czyli kolejny program z cyklu „Wody — czuję jak mnie ubyło”. Przy czym śpiewamy „A penis for a Guy” (może być także po polsku!). Przemysłni programowcy mogą ciągnąć — jeszcze dalej linię i doprowadzić do imprezy „Profesor dał głos”, która będzie konfrontacją „wielkiego, małego człowieka” z „profesorem”, przykładowo nt. „hafty w Zakopanem”.

JAN WYPLATA

CZERWONA RÓŻA

17 listopada w Lublinie odbyło się posiedzenie Ogólnopolskiej Rady Studenckiego Ruchu Dziennikarskiego. Laur „Czerwonej Róży” przyznano w jedenaśtu kategoriach.

W kategorii Klubów Dziennikarzy Studenckich (a więc ocena całocisowa) — KDS — Poznań, w kategorii jednodniówek studenckich: Magazyn studencki (Kraków) 38 punktów, FAKTOR (ZIELONA GÓRA) 33 PKT., Spojrzenia (Poznań) 29 pkt., w kategorii biuletynów: — Komunikaty i informacje (Poznań) 34 pkt., Przed wachłą (Szczecin) 31 pkt., Kalejdoskop (Warszawa) 29 pkt., w kategorii wkładek do gazet i czasopism profesjonalnych: Konfrontacje (dod. do Kuriera lubelskiego — Lublin) 37 pkt., Kolumna studencka (dod. do Nowin — Rzeszów) 36 pkt., Kolumna studencka (dod. do Nad Wartą — Częstochowa) 25 pkt., MŁODA MYŚL (DOD. DO NADODRZA — ZIELONA GÓRA) 20 PKT., w kategorii dziennikarzy prasowych: Waclaw Opacki (Olsztyn) 30 pkt., ANDRZEJ BUCK (ZIELONA GÓRA) 24 PKT., Marek Rudnicki (Poznań) 17 pkt., w kategorii studenckich studiów radiowych: F i D (Poznań) 49 pkt., Iglica (Wrocław) 39 pkt., Sonda (Katowice) 39 pkt., w kategorii ośrodków radia studenckiego: Radio Centrum (Lublin) 42 pkt., Akademickie Radio Pomorze (Szczecin) 31 pkt., Radio Kortowo (Olsztyn) 26 pkt., w kategorii dziennikarzy radiowych: ARKADIUSZ OLSZOWY (ZIELONA GÓRA) 24 PKT., Krzysztof Kurjaniuk (Lublin) 24 pkt., Stanisław Zieliński (Wrocław) 23 pkt., w kategorii Studenckich Agencji Fotograficznych: SAF Rzeszów — 57 pkt., SAF Warszawa — 36 pkt., SAF Olsztyn — 27 pkt., w kategorii fotoreporterów: Zbigniew Bzdak (Kraków) 55 pkt., Zbigniew Centkowski (Olsztyn) 33 pkt., Wojciech Kulak (Poznań) 27 pkt.

WALNE ZEBRANIE

Dnia 10. 10. 1978 r. w Piekieleku DS „Tek turowiec” odbyło się Walne Zebranie Klubu Dziennikarzy Studenckich, które zapoczątkowało pracę Klubu w nowym roku akademickim. Na spotkanie przybyli wszyscy zainteresowani wraz z zaproszonymi gośćmi: red. Janem J. Dębkiem, red. Andrzejem K. Waśkiewiczem, red. Wiesławem Nodzyńskim. Prezes Eugeniusz Kurzawa otworzył Zebranie, przedstawiając referat sprawozdawczy z działalności Klubu za rok ubiegły. Wybrano nową Radę; prezesem ponownie został wybrany E. Kurzawa, rozdano nagrody za działalność dziennikarską, rozdzielono zadania na najbliższy okres. Ciekawą propozycją było objęcie indywidualnej opieki nad każdym wstępującym dziennikarzem przez starszych kolegów.

MALGORZATA PYCIOR

OD REDAKCJI:

Na tymże zebraniu ogłoszono wewnętrzny konkurs na najlepszą informację z te

go właśnie spotkania. Decyzją redakcji „Faktora” zwyciężyła Małgorzata Pycior, której dla zachęty ufundowano skromną nagrodę książkową.

* * *

Dnia 26. 10. 1978 r. o godz. 16.30 w Ośrodku Pracy Ideowo-Wychowawczej PZPR przy WSI odbył się II Środowiskowy Sejmik Studenckiego Ruchu Naukowego. Uczestnikami byli przewodniczący Kół Naukowych, Plenum Zarządu Wojewódzkiego, aktyw SZSP, pion nauki KW PZPR. Pracowano w trzech grupach problemowych. Pierwszy zespół pod kierownictwem dr. Wiesława Hładkiewicza debatawał o formach uczestnictwa w badaniach naukowych dla potrzeb regionu; zespołowi przewodniczył Zdzisław Woik, który również prowadził całość spotkania. Trzecia grupa pracowała nad tematem „O nowocześniejszą dydaktykę szkoły wyższej” — przewodniczył Mirosław Musiał.

MALGORZATA PYCIOR

WYROZNIENIE

Nasz kolega redakcyjny, Eugeniusz Kurzawa, zdobył wyróżnienie w konkursie na dziennik działacza-twórcy pt. „Wobec własnego czasu”, organizowanym przez redakcję „Nowego Medyka” i „ItD”, pod patronatem Zarządu Głównego SZSP. W czasie finału VI Festiwalu Kultury Studentów PRL w Poznaniu ukazała się książka sumująca dorobek konkursu, nosząca ten sam tytuł. Zainteresowanych odsyłamy do rozdziału na stronie 101, gdzie drukowane są wspomnienia kolegi.

(r)

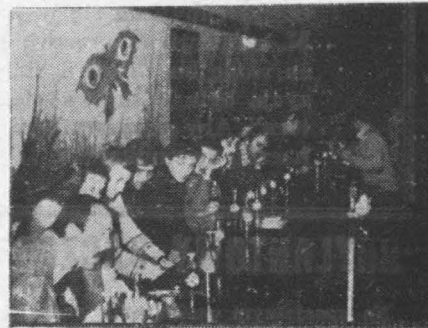
SEJMIKI

10 listopada w klubie „U Jana” na sejmiku spotkali się działacze kultury. Głównie kierunki działań kulturalnych w oparciu o wytyczne ZG SZSP przedstawił sekretarz Komisji Kultury ZW SZSP w Zielonej Górze Mirosław Musiał, plan pracy na nadchodzący rok akademicki zaprezentował przewodniczący tejże komisji Wal



ci. Z najistotniejszych problemów, które trafiły na forum sejmiku należy odnotować współpracę z instancjami SZSP, ter minowość wypłat, działalność komitetu członkowskiego. Szkoda tylko, że frekwencja nie dopisała.

(r. k.)



„FAKTOR” — JEDNODNIÓWKA KLUBU DZIENNIKARZY STUDENCKICH PRZY ZARZĄDZIE WOJEWÓDZKIM SOCJALISTYCZNEGO ZWIĄZKU STUDENTÓW POLSKICH, ZIELONA GÓRA, UL. WESTERPLATTE 30, TEL. 55-50 — GRUDZIEŃ 1978 (WYD. 15).

KOLEGIUM REDAKCYJNE
Andrzej Buck (red. nacz.), Andrzej Gajda (sekr. red.), Wiesław Hładkiewicz, Eugeniusz Kurzawa, Krzysztof Zółciak.

ZESPÓŁ

Arkadiusz Olszowy, Adam Ryszczyński, Mirosław Kniaziuk (fotoreporter), Małgorzata Sidorowicz, Leszek Kania (grafik).

Skład, łamanie, chemigrafia;
Drukarnia Prasowa w Zielonej Górze. Nakład: 1000 egz.

Druk: PZGK-12 2504/Z-2682 J-21

Sposób na scenariusz klubowy

Jarosławowi Janowskiemu z Krakowa

Potrzeba — bo tak to nazwać umownie wypada — spi-
sania tego scenariusza imprezy klubowej zrodziła się z chę-
ci popełnienia twórczego plagiatu „wielkich programowych
odkryć” poprzednich Ogólnopolskich Gield Programowych
Klubów Studenckich. Podyktowały ją nie tylko względy
osobisto-kompensacyjne (to zawsze jest źródłem natchnie-
nie — patrz Freud!) lecz i praktyczne (nadzieja na nagro-
dę, czego przed jury ukryć się już nie da).

Były i przyczyny pomniejsze. Intelkt Jarosława Janow-
skiego programowca-interdyscyplinarnego, wielka świadom-
ość objawiająca się w indywidualnych cierpieniach Krzy-
sztofa Magowskiego z Poznania i to aż dwukrotnie w sce-
nariuszach o ośrodkach działkowych i „Cegła na zapra-
wianiu” czy też „Wielki, mały człowiek”.

pytają, on może dawać „retoryczne odpowiedzi”. Wszyst-
ko jednak musi być na wesoło! To jest bardzo ważne. Jak
nudzi to organizatorzy potrącają mu po parę złotych z ho-
norum. Musi przecież być jakiś przymus i chęć do do-
brej roboty.

W chwili, gdy wszyscy są już przekonani i utwierdzeni,
że ten „wielki” twórca studenckiej kultury jest już całkiem
nienormalny, wtedy trzeba umiejętnie akcję przenieść na
Dworzec Centralny (scenariusz jest tylko możliwy do rea-
lizacji w Warszawie i w Klubie „Majster”), lecz niekoniecz-
nie. W Poznaniu można wykorzystać dworzec w Łowiczu,
bądź Wolę. Jest to interesujący sposób wyjścia kultury
studenckiej na ulicę, i to zarówno w sensie jednostkowym
(czytaj „Wielki, mały człowiek”) jak i grupowym (czytaj

Redakcja postanowiła powołać nową rubrykę zajmującą się humorem, dowcipem, satyrą ry-
sunkową, itp. Chcemy publikować opowiadania satyryczne, humoreski, żarciki nasze o studen-
tach i studentów o nas.

Dlaczego „Kaczor”? Otóż cztery lata temu, kiedy powstawał Faktor, mało kto pamięta te
czasy) odbywała się w Łagowie dyskusja na temat profilu pisma i innych poważnych spraw.
M. in. mówiono o nazwie pisma. Nazwa „Faktor” (pośrednik) nie wszystkim przypadła do serca i
na wodę burzliwej dyskusji wpłynął nagle „Kaczor”. Propozycja już, już, miała „przejsć”. Opo-
zycja była bliska zwycięstwa. W ostatniej chwili siły postępowe przeważyły na korzyść „Fak-
tora”. Aby przeciwnikom już po latach dać satysfakcję, powołujemy „Kaczora”. Niech nie będzie
kaczką dziennikarską.

(REDAKCJA)

BRYLANTOWY KACZOR

Na specjalnym posiedzeniu redakcji
„Faktora” ustanowiono nagrodę —
„Brylantowy Kaczor”.

REGULAMIN

1. Nagrodę „Brylantowy Kaczor” przy-
znają redakcje: „Faktora” i dodat-
ku satyrycznego „Kaczor”.
2. Nagroda przyznawana będzie dwa
razy w ciągu roku, na wiosnę i w je-
sieni za „wybitne zasługi” w rozwo-
ju kulturalnym środowiska akademi-
ckiego i miejskiego Zielonej Góry.
Szczególnie ci, którzy hamują roz-
wój instytucji i działań artystycz-
nych, i kulturotwórczych poczynań o
charakterze intelektualnym mogą li-
czyć na tę specyficzną antynagrodę.
3. Przyznanie nagrody za postawy pa-
sywne, antypostawy, za tworzenie
ducha marazmu, za złą robotę, ma-
na celu uaktywnienie naszego środo-
wiska i zapobieżenie — przez wys-
mianie — szerzenia się wzorców ne-
gatywnych.
4. „Brylantowy Kaczor” przyznawany
będzie w kategoriach zbiorowych i
indywidualnych w stopniu I, II i
III, i tyczyć będzie zarówno studen-
tów i pracowników obu lubuskich
uczelnii jak również osób i instytu-
cji niestudenckich z Grodu Bachu-
sa.
5. Każdorazowe przyznanie nagrody bę-
dzie podawane do wiadomości publi-
cznej, na łamach „Faktora”, zaś na-
grodzony otrzyma do rąk własnych
dyplom potwierdzający powyższy
fakt.

Łabędzi śpiew poranku

Kończył się kolejny dzień grza-
nia. Słońce zachodziło powoli w
ciążę, a Stary Sztymar do siebie.

— Tak — powiedział wypuszcza-
jąc kłęby dymu i kłębki wełny pro-
sto w nos Głównemu. Ten nie na-
myślał się jednak długo i nie ocze-
kiwał następnej porcji. Było wia-
domo, że stołówka wydawała dziś
tylko same stonki. Bez azototu,
który pojawiał się zazwyczaj nast-
pnego dnia. Szef nie uznawał ta-
kich dań. Udał się wprost, a po-
tem jeszcze dalej. Łaźnia była wol-
na. Andrzej nie rychło oddalił się
z miejsca, nie chcąc wpaść pod
dwukółkę. Portier był na stanowi-
sku, właśnie repetował karabin,
drugi rok w tej samej klasie. An-
drzej dał nogę, a potem drugą.
Więcej nie miał.

— To powinno wystarczająco po-
wetować mu reumatyzm — pomy-
ślał i udał (Sie), że wszystko w po-
rządeczku. No, to jadę. Włączył
wszystkie cztery. Weześniej wydał
okrzyk bojowy nieznanego mu bli-
żej plemienia Kcub Jezdrna i
śpiew godowy samiczek piem i
murkwi. Rozległ się. Szczał pod
murem. Upolował pawia. I..

Koniec I odcinka i początek II.

Trafiony cieć odymał się bólem
wykrzykując inwektywy pod adre-
sem Naczelnego.

— To nie ten greps — zakleko-
tał listonosz kierując się na stronę.
Wśród oklasków wnoszono kosz z
ogryzkami. Przecież nie codzień od-
bywały się premiery wodowania
płetwy sterowej Wielkiej. Atmosfe-
ra stawała się nie do zniesienia. Na
domiar złego plutonowy Wazdulak
ponownie dopytywał się o awans.
Z kim przestajesz i takim się sta-
jesz — kwilił rewizor. Niektóre
teksty były za ostre. Nie zwracano
uwagi na to dokóci nie zeszło słoń-
ce. Razem z nim odchodzili nasi
dzielni kombataneci.

— Już nigdy — wrzasnął mistrz
z zapalem rwąc sobie włosy z gło-
wy. Interwencję przyjęto z aplau-
zem.

— Nie ma jak krytyka — egzał-
tował się młody posiadacz indeksu.

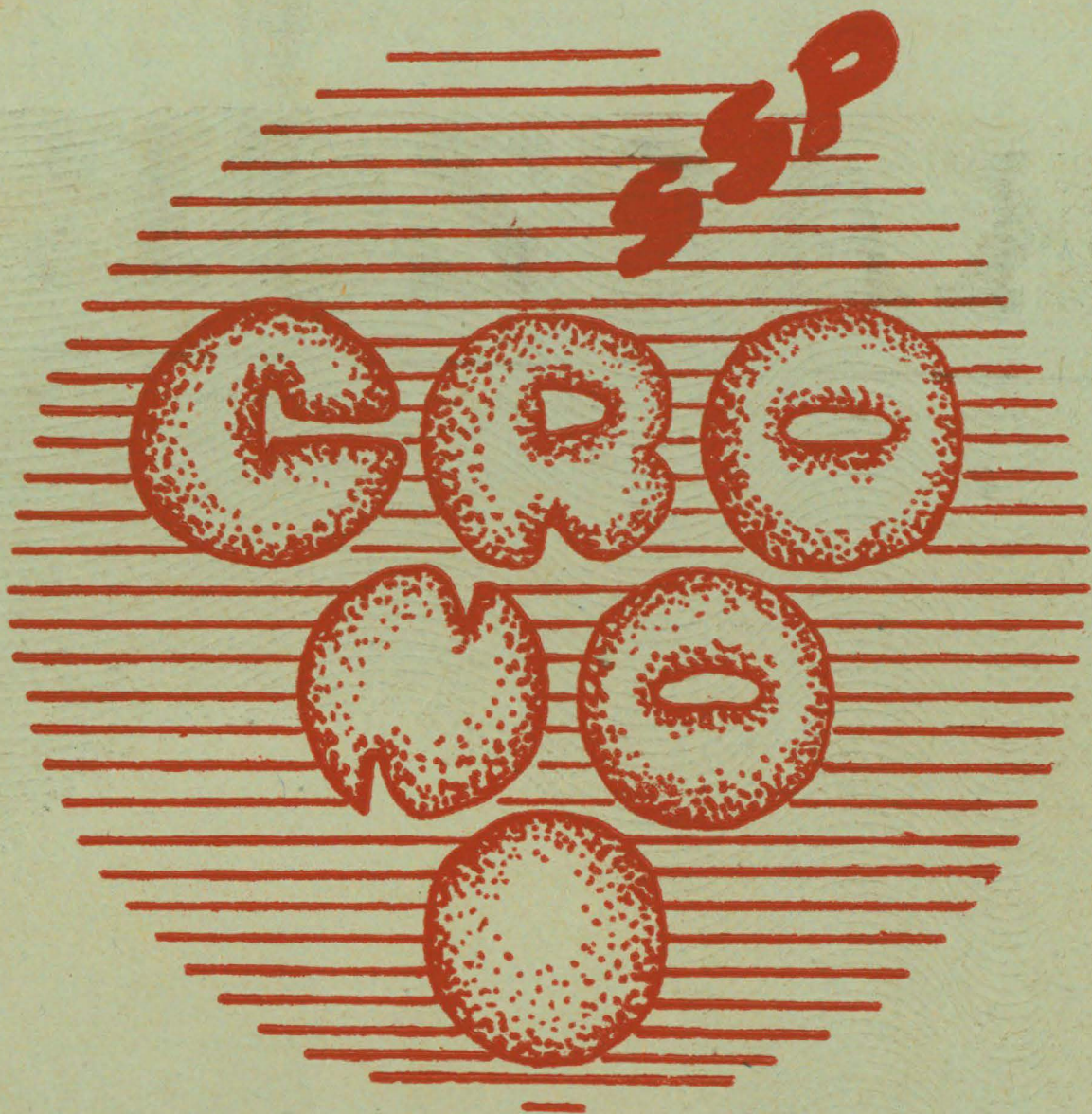
— Gdyby tak jeszcze skrzynka
piwa jęknął drwał spod pnia wie-
kowego dębu.

Łabędzi żegnały dzień kolejnym
śpiewem.

Koniec w ogóle, ale c.d.n.

WASZ — ALIC Z KRAINY
CZARÓW

STUDENCKA SPÓŁDZIELNIA PRACY



**po całym świecie podróżujesz
gdy chętnie w „GRONIE”
dziś popracujesz**

